

X-47  
X. CHARSZEWSKI.

# O absolutyzm idei Opatrzności w dziejach

CUDA i KATASTROFY.



Cena zł. 2.—

---

NAKŁADEM CZASOPISMA „PRO PATRIA”, TRUGUTTA 3.  
WARSZAWA — 1928.  
SKŁAD GŁÓWNY „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”.

X. CHARSZEWSKI.

# O absolutyzm idei Opatrzności w dziejach

CUDA i KATASTROFY.



Cena zł. 2.—

---

NAKŁADEM CZASOPISMA „PRO PATRIA“, TRAUIGUTTA 3.  
WARSZAWA — 1928.

SKŁAD GŁÓWNY „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ“.



## W S T Ę P

Nie jest wesoło człowiekowi „pocziwemu“, że użyjemy wyrażenia Rejowskiego, w te lata bieżące, które należałoby nazwać raczej djabelskimi, niżeli Pańskimi. Ale nie nasza rzecz przesądzać znaczenie tych lat w biegu dziejów grzechu pierworodnego, to jest dziejów zaślepień umysłu i zatwardziałości woli. Uczy bowiem spostrzeżenie hiszpańskie: „djabł sam nosi najcięższe kamienie do budowy świątyni Pańskiej; poci się, a nosi“.

Ta książka ks. kanonika Charszewskiego, osoby, którą poważamy gruntownie i kochamy serdecznie za czystość i niewzruszoność wiary, za szlachetność intencji, za zgodność praktyki z zasadą, za śmiałość wobec jakiegokolwiek występującego błędu lub fałszu, nie może być przedmiotem krytyki teologicznej z naszej strony, jako nie znających się na tej rzeczy. Możemy jedynie wskazać jej miejsce publicystyczne wśród walki zażartej dwóch obozów: to jest zwyczajnych ludzi, uważających Boga za istotę heterogeniczną, to zn. absolutnie, niedoścignienie wyższą od człowieka, i ludzi, mieniących się nad-ludźmi i homogenetami Boga. Właściwie niemasz innej walki w świecie socjalnym ludzkim nad te różnice pojęć. Nadczłowiek jest to zdrajca świata, zdrajca bliźniego, co obiecuje bliźniemu to, czego mu dać nie może. Przez to staje się największym ze sprawców zła.

Czyż może być większa ambicja dla umysłu i większa pokusa dla serca walczyć z tym wrogiem rodzaju ludzkiego?

Poza wartością polityczną (w znaczeniu arystotelesowem) takiego trudu, poza objawiającem się wzniesieniem ducha-mo-

toru, podajemy raz jeszcze, mimo żeśmy świadczli o tem już nieraz, umiejętność pisarską księdza Ch., jego majsterstwo językowe, stylistyczne. Współcześni literaci polscy piszą naogół niechlujnie i to nie zawsze z zaniedbania, ale często i przez ignorancję. Książ Ch. jest znakomitym pisarzem polskim.

Należy on do rzędu tych księży polskich, którzy szczęśliwie zdołali byli zrozumieć więź naturalną pomiędzy absolutnym uniwersalizmem katolickim a lokalnymi prawami; pomiędzy prawem Bożem a prawem naturalnem i ludzkim (narodowym). Jest on więc zarówno bojownikiem za wiarę przeciwko nadludziom, jak i szermierzem o polskie „*aris et focis*“. Bo te ołtarze i te ogniska służą chwale Boskiej, a niszczyć je lub gasić byłoby to zaniedbać najwyższą służbę. Dopóki dusza żyje in coniuncto z ciałem, prawa cielesne, do jakich należy i parjotyzm, nie mogą nie działać, a nie uznawać ich jest korupcją.

Panorama sprawiedliwości dziejowej, rzucona przez autora powinna zastanowić nawet ateusza.

*Ignacy Oksza-Grabowski.*

W maju 1928 r.

Opatrzność świeci słońcem wszechświatu. „Od krańca do krańca — mówi Mędrzec — dosięga mocnie i rozrządza wszystko wdzięcznie“. Słoneczne Oko Opatrzności czuwa wszechwładnie i wszechwidząco. Promienie Jego przenikają najskrytsze tajniki wszechbytu i sprawiają celowy jego rozwój w kierunku, złożonych w nim przez akt stwórczy, realnych przesłanek.

Celowość powszechna, objawiająca Rozum, — gdy chodzi o Ziemię, koncentruje się na Człowieku, jako jej tworze królewskim. Bóg jest Najwyższym Działaczem politycznym. W Jego rękę cezary i napoleony, meternichy i bismarki, są tylko narzędziem: narzędziem odpowiedzialnem, bo wolnem. Jest On Osobistością historyczną, panującą nad panami świata, choćby wbrew ich woli i mimo ich wiedzy.

To dogmat zarówno zdrowego rozumu, nazwanego przez Maritainą „dogmatyka natury“, jak i Objawienia. Ród ludzki wyznaje go od początku. Chrystjanizm oczyścił go i w pełni rozświetlił.

Lecz oto przyszedł liberalizm i na idealistycznych niebiosach ludzkości zgasił tę ideę słoneczną. W podległych mu umysłach stało się ciemno. W miejsce królewskiego ładu, stworzonego przez Myśl chrześcijańską, powstał w nich demokratyczny męt i chaos. Nie zaszkodziło to ani Panu Bogu, ani przyrodzie. Lecz odbiło się zgubnie w świecie wolnych działań ludzkich, świadcząc o potędze zawartego w liberalizmie fałszu. Pierwszy jego owoc — to rewolucja francuska, nazwana przez żydów samochwalczo i zarazem sugestywnie „Wielką“ i, wślad za nimi, nazywana tak przez papugi aryjskie. Wtóry — to rewolucja bolszewicka.

Od czasu rewolucji francuskiej spełnia się w dziejach ponure „*panta rej*“ kosmiczne płaczącego filozofa z Efezu. Do jakiego morza płynie odtąd rzeka dziejów ludzkich, wyparta przez zwałoną w nią górę fałszu z łożyska chrześcijańskiego, zmaczona rozłożonemi w niej pierwiastkami dogmatycznymi i rozlana mętną falą po nizinach demokracji? Odpowiada na to rewolucja bolszewicka. Nie do jasnego morza wyższej harmonji, jak, koniec końców, choćby kosmos „boskiego na lud szczekacza“, mądrego wroga głupiej demokracji; lecz do burzliwego czarnego morza — nawspak wywróconego ładu.

Demonizm, skojarzony centaurycznie z bestjalizmem, proklamujący ogłupionemu światu — prawa — nie już człowieka, lecz bestji ludzkiej, stał się czynnikiem krystalizacyjnym „nowego ładu“, wyłaniającego się z liberalno-demokratycznego chaosu, z ukrytych w nim obłudnie przesłanek. W polityce przedstawia

się on jako tyranja wcielonych biesów, bezczelnie maskowana jeszcze do czasu, nibyto maksymalistycznym, wszechwładztwem proletariatu.

Słowem, gruntowne przeciwieństwo Monarchji chrześcijańskiej, której przyświeca Opatrzność: autokracja Lucyfera pod ekspozycyjną firmą cezaro-papistycznego króla Syonu.

Te, dziś już przejrzyste, tendencje ujawniają ślepotę lub obłudę proroków demokracji, nie wyłączając demokratów chrześcijańskich, o ile i oni, wbrew wskazaniom Leona XIII, pojmują demokrację w dosłownem jej znaczeniu etymologicznem i filozoficznem, jako istotne ludowładztwo; wskutek czego są również zagorzałymi wrogami Monarchizmu. Ujawniają one, że demokracja nie jest bynajmniej celem sama dla siebie, lecz że jest podstępnyim środkiem do celu, przygotowaniem gruntu pod światowy imperjalizm Antychrysta-Tyrana w miejsce imperjalizmu Chrystusa-Króla. Dla monarchistów chrześcijańskich wynika stąd obowiązek pilnej bacności na to, z jakich źródeł płyną dążności monarchistyczne: czy, przypadkiem, nie z Protokółów M. S.?

Wszakże i najsakrajniejsze odchylenia od ostatecznego celu dziejów wchodzą w dziejowy plan Opatrzności, jako przewidziane przez Nią środki karne i uświadamiające, bądź też podniecające uświadomionych do tem żarliwszej walki o realizację Jej planu.

Treściwy ten pogląd na rolę Opatrzności, jako najwyższego czynnika dziejowego, pozwala nam ocenić najwyższą doniosłość polityczną wiary w rzeczywistość Jej działania, jak niemniej konieczność absolutyzmu w afirmacji tej wiary, skoro prawda nieabsolutna jest życiowo bezsilna.

Tymczasem ze strony, skąd należało oczekiwać wzmocnienia słabej dziś wogóle siły afirmatywnej wiary w Opatrzność dziejową, przyszło jej nadwątlenie.

Stało się to w „Zarysie Filozofji Historji“ X. dr. Al. Pechnika, wydanym przez Lwowskie Tow. Biblioteki Relig. Im. Arcyb. Bilczewskiego. Książka, owoc kilkoletniej pracy, ukazała się już w r. 1925; prasa katolicka omówiła ją pochlebnie, jak na to, zresztą, ona skądinąd zasługuje. Nikt wszakże, o ile wiem, nie zwrócił uwagi na zdumiewające w teologu zapatrywanie Autora w zasadniczej kwestji celowości w dziejach. Jest ono stanowczo błędne, a niezmiernie rozpowszechnione i może znaleźć w powadze Autora uludne potwierdzenie. Fakt, że nawet krytyka katolicka nie zwróciła na ten błąd uwagi, jest niepokojącym symptomatem znieczulenia na jego wysypki.

Z tych względów domaga się on uzasadnionego gruntownie sprzeciwu, zwłaszcza że dotyczy sprawy tak doniosłej, a Le Play powiedział, że „narody giną bardziej z powodu błędów umysłowych, niż nawet z powodu występków“. Nie mogąc doczekać się wystąpienia w obronie nadwątłego przez „Zarys Fil. Hist.“ absolutyzmu idei Opatrzności w dziejach — ze strony

bardziej może do tego powołanej naukowo, sam o to się pokusiłem. Pobudką do tego było mi żywe interesowanie się moje będącym w mowie problemem, jak niemniej związanemi z nim tu osobliwie, ciekawemi kwestjami cudów i katastrof. Zasada Stagiryty, której zawsze hołduję: „amicus Plato, sed...“ — niech mi będzie wobec Dostojnego Autora usprawiedliwieniem.

Chodzi o końcowy rozdział książki, zatytułowany: „Myśl przewodnia historji i cel ostateczny, wytknięty jej przez Boga“. Rzuci on światło zwrotne na całość dzieła, nasadza głowę na jego tułów.

Autor zapytuje: „Czy można stwierdzić w historji jakieś wyższe, nadziemskie kierownictwo, jakąś ideę, wywierającą wpływ widoczny na bieg wydarzeń i na losy narodów, jakiś cel wyższy, wskazany im przez Opatrzność?“ I odpowiada: „Jest to zagadnienie, które nie da się rozstrzygnąć w sposób, usuwający stanowczo wszelką wątpliwość“.

Czyżby? Dlaczegoż to? — przerywamy zdumieni.

„Zależy to bowiem — czytamy dalej — od przekonań filozoficznych, od poglądu na świat, jaki sobie przyswoił myśliciel: czy zechce uznać działanie jakichś czynników nadziemskich w historji, czy też woła wszystko w niej sprowadzić do przyczyn naturalnych“.

Zdumiewamy się na dobre.

„Nawet wobec faktów, — ciągnie Autor — uznanych przez innych za niewątpliwie cudowne, można zachować się sceptycznie: można ich prawdziwości zaprzeczać, albo też twierdzić, że nauka nie zdoła ich wyjaśnić dlatego tylko, że nie znamy wszystkich sił przyrody“.

Zdumienie nasze dochodzi do szczytu! Czyżby Autor godził się na uzależnienie przedmiotu poznania od władz poznawczych, od powziętych zgóry przekonań, podyktowanych przez kapryśny imperjalizm wolnej woli? Czyżby uznawał kan- tejski subiektywizm z jego sądami syntetycznymi a priori, które przedmiot poznania zamykają w poznającym podmiocie, ni- by we wnętrzu norymberskiej Dziewicy Żelaznej, gdzie w tortu- rach giną królewskie walory metafizyki, stanowiące duszę wie- dzy ludzkiej, a na placu stracenia pozostaje posiekany trup demokratycznych walorów zjawiskowych?

Nie przesądzajmy tej sprawy na razie!

W przedmowie do swego dzieła, zapobiegając przewidy- wanemu ze strony wolnomyślnego zarzutowi, że to nie jest żadna filozofja, lecz tylko apologja dziejopoglądu katolickiego, Autor protestuje przeciw wszelkiemu aprioryzmowi i oświadcza się za całkowitą, jeśli nie praktyczną, która jest niemożliwością, to za metodyczną Voraussetzungslosigkeit, wolnością od jakichkol- wiek uprzedzeń. „Ten jednak zarzut — powiada słusznie — mu- siałbym uznać za słuszny tylko w tym razie, gdyby takie poj- mowanie dziejów nie zgadzało się z faktami i zasadami zdro- wej filozofji. Uważam za rzecz niewątpliwą, że badanie filozo-

ficzne musi zawsze wychodzić, nie od jakichś założeń apriorycznych, ... ale od faktów stwierdzonych, i że najważniejsze z tych faktów przekonywają o pierwszorzędnym znaczeniu religii katolickiej dla dziejów ludzkości". Istotnie, chrystjanizm wplótł się w dzieje ludzkości i powiązał z niemi nierozzerwalnie, wyciskając na nich piętno nadprzyrodzoności. Daremne są wysiłki samego piekła wyplecenia go z dziejów i starcia jego z nich piętna. To fakt, fakt boski! „Le Christ et l'humanité — powiada Maritain — sont trop inséparablement liés, pour qu'on puisse les désunir, en laissant l'homme ce qu'il est". Zdrowa zaś filozofja wykazuje zgodność chrystjanizmu z rozumem i potrzebami duszy (Tertuljanowe: „anima humana naturaliter christiana") i czyni go oczywistym (extrinsece evidens).

Toteż kiedy uniwersytet edynburski zaprosił Gabrjela Stokesa do wygłoszenia konferencji o etyce, z zastrzeżeniem, by prelegent posługiwał się wyłącznie argumentacją czysto rozumową, oświadczył on, iż nie czuje się na siłach sprostać temu zadaniu. „Albowiem—uzasadnił odmowę—etyka, o której mam mówić, uznana w całym świecie cywilizowanym, nie jest płodem geniuszu ludzkiego, lecz jest dziełem Jezusa Chrystusa. Prócz tego, cały chrystjanizm opiera się na fakcie historycznym, który jest faktem cudownym: na zmartwychwstaniu Chrystusa. Trudno o takich faktach nie mówić“.

Oparty więc na faktach, Autor osobiście wierzy niezachwianie w Opatrznościowe kierownictwo dziejów i należy do liczby tych „innych“, którzy fakty, podawane przez Kościół za cudowne, uznają „niewątpliwie“ jako takie. A jednak równocześnie postępuje tak, jakgdyby prawda, niby w parlamencie, podlegała podległemu agitacji głosowaniu i jakgdyby uznanie jej zależało od jego wyniku. Przyznaje bowiem wagę przeczeniu myślicieli niekatolickich i odeń uzależnia siłę afirmacji katolickiej, tak, iż w rezultacie, zdaniem jego, zagadnienie działania Opatrzności w dziejach nie da się rozstrzygnąć w sposób absolutny.

I to w porządku obiektywnym, w którym żadne, choćby najgenjalniejsze, przeczenie nie jest zdolne nadwątlić uzasadnionego absolutnie twierdzenia. Bo że ono oddziałuje ujemnie w porządku subiektywnym, t. j. na siłę wiary wierzących, to fakt psychologiczny niezaprzeczalny; choć to zarazem objaw, który w imię absolutnej pewności prawdy przedmiotowej należy zwalczać.

Autor zatem wpadł w błąd głoszonych dziś powszechnie i stosowanego wszędzie relatywizmu. Zwalczyć go w odniesieniu do problemu Opatrzności dziejowej będzie zadaniem tej rozprawy.

Uznanie lub nieuznanie Opatrzności w dziejach zależy od kierunku przekonań filozoficznych faktycznie. To fakt, psychologicznie konieczny, skoro nie można przystąpić do jakichkolwiek badań naukowych bez jakiejś hipotezy rozumowej. Rzecz w tem, aby mieć uczciwość porzucenia jej na korzyść lepszej, gdy próby doświadczenia nie wytrzymuje.

Tej uczciwości nie wykazują wyznawcy ani ateizmu, ani panteizmu, ani nawet deizmu, jak dawni encyklopedyści, a dziś masoni obrządku szkockiego, którym ich deizm umożliwia fałszywą grę religiancką. Owszem, i dość liczni demokraci narodowi, którym wciąż trudno podporządkować Ojczyznę Bogu i choć trochę ze swoich dla niej zasług Mu przyznać, dźwigają pokornie jarzmo liberalizmu, choć srożą się przeciw straszemu jego dziecku: bolszewictwu. Wszak sam „Jan Ewangelista“ tego obozu, p. Z. Wasilewski, niedawno jeszcze narzekał, że „weszło w modę podcinanie wiary w Naród nawet ze stanowiska religijnego“. Z rozbrajającą naiwnością widzi on „obskurantyzm“ w upatrywaniu sprzeczności między wiarą w Boga a uznawaniem dobra narodu za dobro absolutnie najwyższe. Pan Bóg, jako Istota zaświatowa, jest może Dobrem Najwyższym w zaświatach, ale nie na ziemi... Pan Z. W. jest rzeczywiście orłem „Myśli Narodowej“, tej w cudzysłowach.

Podobnie wierzył w Boga Rousseau; jednak w swym Kontrakcie Społecznym wyprowadził transcendentalne pochodzenie wszelkiej władzy od ludu, kładąc „filozoficzne“ podwaliny pod światowy dom nietykalnych warjatów, jakim jest wieloprzymiotnikowy parlamentaryzm, oraz dając ateuszom: broń demokratyczną do walki z Bogiem. Koncepcję jego uświęciła „Deklaracja Praw Człowieka“, wyzuwająca z wszelkich praw Suwerena nad suwereny. I Wolter „wierzył“ w Boga, jakoby nawet katolickiego, czego „dowodem“ postawiony przezeń w Ferney kościółek z konfidencjonalnym na froncie napisem: „Voltaire erexit Deo...“

Jedynie teiści, reprezentowani najpełniej i najnieskazitelniej przez myślicieli katolickich, liczą się sumiennie, czasem aż do przesady, jak X. Dr. Pechnik, z mową dziejów—i przeto także i na drodze indukcji historycznej dochodzą do uznania Opatrzności. Pozatem wszyscy inni poddają historję najwymyślniejszym torturom na Madejowem łożu doktrynerstwa, by, wbrew samej sobie, wyśpiewywała im to, co jej każą.

Jakież więc, poza fałszywemi zawsze przedmiotowo,

a często kłamnymi podmiotowo, uroszczeniami do monopolu naukowości, przeczenie przez nich Opatrzności posiada uprawnień naukowe, żeby myślicielowi katolickiemu należało z nimi się liczyć i kłaść je na szalę przeciwkatolicką, jakoby coś istotnie ważkiego, co mogłoby ruszyć z miejsca obciążoną absolutnie szalę katolicką?

Falsz nie jest czemś pozytywnym. Bezwzględna negacja prawdy bezwzględnej nie waży nawet ani nieskończenie małej cząstki metafizycznego miligrama. Jeżeli zaś, jak w deizmie, jest względna, to zawarte w niej wartości pozytywne należą do afirmacji. Nie przysługują mu one tembardziej, że deizm, uważany w swoich wyznawcach, jest tylko etapem na pochylni przeczenia, orjentuje się ku ateizmowi i równa się mu praktycznie. Gdyby Bóg, jak twierdzą „pokornie” deiści, nie dbał o świat, to świat byłby uprawniony nie dbać o Boga, czyli żyć bezbożnie, o co właśnie chodzi maskującym się deizmem ateistom, w każdym razie ateistom praktycznym.

Lecz pojęcie o Bogu, jakoby to był szopenhauerowski „Wolkenkuckuksheim”, jest z punktu rozumowego niedorzecznością, a z punktu moralnościowego bluźnierstwem. To też Klemens aleksandryjski uważał Opatrzność za jedną z tych prawd oczywistych, których przeczenie równa się przeczeniu Boga i zasługuje nie na zbijanie, a na karę. Samo nawet żądanie dowodów na Opatrzność zowie on karygodnym. Bóg i Opatrzność to jedno i to samo. Bóg nieopatrny nie byłby Bogiem. Na pogardę tylko zasługuje dowodzenie, jakoby troska o „marny” świat była niegodna Tego, który go stworzył. Jestto obłudne upokarzanie się poniżej godności ludzkiej, by się ponad Boga wywyższyć i stać się absolutnym sobiepanem, autosuwerenem, bezpańcem.

Dziś, niestety, pod wpływem absolutyzmu negacji, zabrakło owej absolutnej siły afirmatywnej—nie prawdzie, lecz jej obrońcom nawet! Uprawnia się faktyczny, nieuzasadniony przedmiotowo, stan zależności zagadnienia transcendentalnej celowości w dziejach od podmiotowego widzimisię, od skażonej woli ludzkiej, którą, nie żaden Doktor Kościoła, lecz wróg jego, Hobbes, oskarża o złośliwą tendencyjność, mówiąc chłoszcząco, że „gdyby ludzie mieli w tem interes, zaprzeczyliby zasadom Euklidesa”.

Z tej koncesji wypływają fatalne następstwa. Niema bowiem żadnej racji, by jej nie rozszerzyć na wszystkie prawdy tego samego porządku, a w takim razie żadna z nich, z prawdą o Bogu na czele, nie dałaby się „rozstrzygnąć w sposób, usuwający wszelką wątpliwość”, gdyż wszystkie mają wrogów.

Przeciw pewnemu ortodoksowi protestanckiemu, broniącemu istnienia Boga, pewien zagorzały heklista rzekł terorystycznie, że od uznania Boga do uznania nieomyślności papieża wcale nie tak daleko. Miał słuszość. Albo integralny katolicyzm, albo integralny nihilizm. Wszystko, co się znajduje mię-

dzy temi dwoma ekstremami, jest nielogiczne. Stąd i wszelkie ustępstwo z integralizmu katolickiego, sięgające w dziedzinę tolerancji dogmatycznej, musi się odbić osłabiająco na sile afirmatywnej całości nauki katolickiej.

Przyjrzyjmy się zbliska dopuszczalnym wedle Autora racjom na korzyść tezy, przeciwnej Opatrzności.

„... czy (myśliciel) zechce znać działanie czynników nadziejskich, czy też woli w niej wszystko sprowadzać do przyczyn naturalnych”.

Nie bez żenady ze względu na Autora, musimy przeciw niedowiarstwu stwierdzić, że czynniki nadnaturalne, a raczej zaświatowe, bynajmniej nie wyłączają przyczyn naturalnych, a raczej światowych, gdyż nie leżą w jednej z nimi płaszczyźnie, ani realnie, ani idealnie. Bóg, Przyczyna przyczyn, jest ponad przyczynami drugorzędnymi i jest mocen posługiwać się nimi, jako narzędziem. Stwierdzenie tej prostej prawdy wytrąca broń z ręki tym, co „wołą wszystko sprowadzać do przyczyn naturalnych”—i w tym celu ignorancko przeciwstawiają przyczyny niższe Przyczynie Najwyższej sposobem alternatywnym: albo—albo.

Jednym z takich niewiedców był W. Nałkowski. W swoim „Zarysie metodyki geografji” pouczał on nauczycielstwo: „Należy skwapliwie korzystać ze sposobności, w razie, gdy przyczynowość, związek zjawisk, bije wprost w oczy, i tą oczywistą naturalnością przyczyn wypierać z umysłów dziecięcych tkwiące w nich dziedzicznie, lub przeszczepione z ciemnego otoczenia domowego, pojęcie przyczyn nadnaturalnych”.

Ten przejaw ciemnoty wolnomyślnej, uważającej się za jasnotę, powołaną do oświecania oświecicieli, przypomina bolszewika, o którym X. Tokarzewski pisze w swojej „Straży Przedniej”. Ów, skarcony przezeń za palenie w jego piecu jego biblioteką, odparł zgorszony:

—„Ech, towarzyszc ksiondz! Ja myślał, że ty człowiek rozumny, a ty dureń!...”

Nikt z wierzących jako tako inteligentnie nie podziela pokutującego od wieków w masach nieoświeconych przesądu, którego mocą przypisuje się zjawiska zupełnie naturalne przyczynom nadnaturalnym. Ale Nałkowski do kategorii przesądów zaliczał także wrogą przesądom istotnym naukę katolicką. Przytem, zgodnie z ideologią wolnomyślną, w języku jego wyraz „nadnaturalność” obejmuje nie tylko to, co istotnie jest nadnaturalne, ale i to, co jest poprostu tylko nadzmysłowe, co zatem należy do porządku naturalnego, włącznie z ideą Boga, o ile dostępną naturalnemu poznaniu ludzkemu z dzieła stworzenia.

Zalecaną przez N. metodę zastosowała „Leningradzkaja Prawda” z okazji katastrofy powodzi w Leningradzie, we wrześniu 1924 r. (Powódź ta prawie dorównała największej z histo-

rycznych tamże, z r. 1824, więc równo z przed stulecia). Oto, co ta bolszewicka „Prawda“ pisała:

„Pośle każdawo biedstwja religjozniki wsiech mastiej starajutsia zapugat' „wierujuszczich“ (cudzysłowy „L. P.“) bożjimi nakazanjami. Nauka proliwajet jasnyj swiet na wsie jawlenja... Priczyna nawodnienij w Leningradie zakluczajetsia w cikloniczeskoi diejatielnosti, rozwiwajuszcziesia w zapadnoj Jewropie, przicom nieobchodimo otmietit', czto jesli ciklon naprawlajetsia po naprawlenju k' siewiero-zapadu, ili niemnogo siewiernieje, ili jużnieje Leningrada, nawodnienje wsieгда niezbieżno“ (nr. 219 z d. 25.9.1924).

To wyjaśnienie naukowo-przyrodnicze ma wyłączać wszelką myśl o karze Bożej! Panowie „myśliciele“ bolszewicy sądzą widocznie, że my, wierzący, sądzymy, jakoby katastrofy żywiołowe były zawsze cudami. Z głupotą, posądzającą świat wierzących, którego niebo błyszczy gwiazdami nauki pierwszej wielkości, o taką głupotę, polemizować — moralnie przytrudno. Ale też to rzecz zbędna. Ta głupota zabija się sama.

Warto jednak podkreślić dwa znamienne szczegóły. „L.P.“ z pasją podkreśla wielokrotnie ślepotę rozhukanych żywiołów powietrznych i wodnych. Rzekłbyś, jakgdyby w nich samych przeczuwała złośliwy rozum i, na wzór Kserksesa, a później Piotra W., biczących „krynabrne“ morze, usiłowała pomścić się na nich bodaj wynysłaniem im od ślepoty.

Pozatem „L. P.“ stwierdza fatalną w następstwach omyłkę Głównego Obserwatorium Geofizycznego, że na dzień krytyczny zapowiedziało podniesienie się poziomu pędzonych z morza przez cyklon mas wodnych, conajwyżej do 4 stóp, gdy w rzeczywistości one osiągnęły stóp 13—17. Ta fatalna omyłka, napiętnowana przez gazetę jako „prestupnaja“, która nieobliczalnie powiększyła klęskę, narzuca wnioski, że kogo Bóg chce ukarać, temu odbiera rozum.

Podobnie, jak bolszewicy, — w III części „Dziadów“ Senator (Nowosilcow), nadrabiając miną, próbował wytłomaczyć czysto naturalistycznie śmierć Doktora (Becu) od pioruna:

„No i cóż w tem dziwnego? Wiosną idą chmury,  
Z chmury piorun wypada, taki bieg natury!“

Wszakże Pelikan, który zwiastował senatorowi pogębiającą nowinę, nie mógł się obronić przed narzutliwą myślą, że piorunem kierował Rozum:

„..... Fenomen to godzien rozbiorów:  
Okolo domu stało dziesięć konduktorów,  
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił.  
Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił.  
Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktora,  
I zapewne służyło dziś za konduktora“.

Odyniec pisał: „Wczoraj rano (2.6.1830) srożyła się okropna burza, której przypatrywaliśmy się, pałac fajki. A gdy ja,

na błysk i łoskot bliskiego pioruna, przeżegnałem się i schyliłem głowę, Mickiewicz oparł rękę na moim ramieniu i odezwał się: „Masz rację! Tylko głupcy nie czują i nie boją się mocy Bożej“.

Wspomnieliśmy tu o katastrofach jedynie gwoli obrazowaniu sprawy stosunku przyczyn naturalnych do nadnaturalnych. Autor da nam jeszcze sposobność do pomówienia o nich specjalnie z punktu celowości. Tymczasem idźmy w ślad za nim. Mamy przed sobą doniosłą sprawę cudów, wymagającą sporo miejsca.

„Nawet wobec cudów — utrzymuje Autor — można się zachować sceptycznie“.

Swojem „nawet“ Autor, ze świadomością teologa, podkreśla nadzwyczajną wagę cudów, przede wszystkim dogmatycznych, jak zwłaszcza Zmartwychwstanie Chrystusa, cud-unikat, — dla nauki katolickiej; a ponieważ są to fakty historyczne, przeto także i dla historjografji. Z wagi ich zdawał sobie sprawę Dawid Straus, gdy pisał: „Wer die Pfaffen aus der Kirche schaffen will, der muss erst das Wunder aus der Kirche schaffen“. Zauważmy mimochodem, co to za kapitalne wyznanie: motywem walki z cudem nienawiść do „klechów“!

Pospołu z całokształtem czynników nadprzyrodzonych w dziejach, czynników, skupiających się dawniej w Synagodze, a dziś w Kościele i, wedle konwertyty Alberta v. Rouville, prof. uniwersyteckiego w Halli, stanowiących „Goldgrund der Weltgeschichte“, — cuda, jako rozstrzygające dowody świata nadprzyrodzonego, sprawiają, że nie masz czystej filozofji historji, a istnieje faktycznie, jak mówi Giovanni Battista Vico: „społeczna rozumowana teologia Opatrzności“ (cytaty ze „Wstępu“ do „Zar. Fil. Hist.“).

Kiedy Napoleon postawił Laplace'owi zarzut, że w swojej słynnej „Mécanique celeste“ nie uczynił nawet wzmianki o Bogu, tenże mógł odrzec słusznie, że to dla jego hipotezy kosmogonicznej nie było potrzebne. (Ateizm, chcąc go sobie zaanektować, przekreślił te jego słowa, podając je w formie: „ta hipoteza (hyp. Boga!) nie była mi potrzebna“.) Otóż historja, w przeciwieństwie do nauk przyrodniczych, nie da się traktować nie tylko z pominięciem Imienia Bożego, ale i Imienia Jezusa Chrystusa.

Ci przeto myśliciele, którzy z Marxem głoszą materialistyczne pojmowanie dziejów i traktują dzieło Chrystusowe, Kościół, jako potęgę czysto polityczną, są fałszerzami historji, a ich syntezy historjograficzne zasługują raczej na miano historjomorji (moria = głupstwo). Materialistyczny punkt wyjścia prowadzi ich do potwornego oskarżenia Kościoła o wytwórstwo „opiumu dla ludu“, wówczas gdy sami są wytwórcami rajskiego narkotyku dla proletariatu, by, odebrawszy mu Niebo, jego rękoma zgotować światu piekło.



A jednak: „można się zachować sceptycznie nawet wobec cudów“!

Sceptycyzm taki jest faktem ponad wszelką wątpliwość. Ale to rak duszy, który dziś wszedł w rozkładową fazę bolszewickiej ofensywy i daje znać o sobie zabójczym fetorem posuwającego się do krańcowości bezwstydu w życiu i sztuce. To rak, który w naszych oczach dojrzał i nabył demonicznej pewności siebie, kiedy więc tembardziej trzeba mu przeciwstawić boską pewność swego ze strony naszej. Jakże przeto może on mieć prawo do życia?

Nie daje mu go ani czysta, bezinteresowna, t. j. niezainteresowana w schlebaniu pysze i zmysłowości, nauka, ani oparta na niej zdrowa filozofja. Uczeni i myśliciele teistyczni, których jest większość, ze złośliwymi jego mikrobami walczą zwycięsko. Muszą one przeto mieć swoje podłoże, swój buljon czy żelatynę, poza nauką i filozofją, a pseudonauka i pseudofilozofja muszą być tylko przejawem wtórnym choroby, który istotne jej siedlisko maskuje i utrudnia diagnozę. Gdzie ono? Sam Autor naprowadza nas na odpowiedź, mówiąc, że rozwiązanie zagadnienia Opatrzności w dziejach, dodatnie lub ujemne, zależy od tego, czy myśliciel „zechce“, czy też „woli“.

Tak jest. Wola decyduje ostatecznie o wierze lub niewierze. Ale gdy do aktu wiary potrzeba woli dobrej, to do aktu niewiary potrzebna jest wola zła, choćby podświadomie. Złość woli, jej tendencyjność, jej pyszne „sic volo, sic jubeo“, podsyte zmysłowością, brutalną czy subtelną: oto przyczyna choroby sceptycyzmu. Wolę metaforyzuje buljon, złość jej metaforyzują mikroby. Zalegają się one w siedlisku woli i stamtąd czynią ataki na władze poznawcze, by je zakazać i do służby swej zmusić.

Wszakże w interesie mefistofelicznych wytwórców tej choroby leży podawać ją za samo zdrowie, za tężyznę i moc ducha; w sferze zaś umysłowej—za postęp i oświatę. Toteż dotkniętą ofiary paradują po świecie z głową do góry, jako mocne duchy, strojne w szychy pseudonauki i pióropusze teozofji, a raczej antropozofji (bo człowiek to bóg!), poświadczając mimowoli słuszność spostrzeżenia Pascala: „les incredules sont les plus credules de tous“— „nie masz łatwowiarków nad niedowiarków“.

Zdaniem Autora, do sceptycyzmu wobec cudów upoważnia jednych niepewność ich historyczna, innych zaś niezajomość wszystkich sił przyrody. Ci drudzy, dziś, wobec pewnych jakoby widoków, otwartych przez poczetą z okultyzmu metapsychikę (niby jak astronomja z astrologji i chemja z alchemji), na zdmuchnięcie z cudów aureoli nadprzyrodzoności i ich naturalizację, biją tamtych: przyznają prawdziwość faktów, uznanych przez Kościół za cudowne. Ułatwia to nam zadanie o tyle, że pozwala zająć się nimi wyłącznie, to zn. traktować sprawę na gruncie tylko przyrodniczym, no i okultystycznym.

Zapytujemy: czy istotnie trzeba znać wszystkie siły przyrody, by orzec, że dane zjawisko je przewyższa, czyli, że jest cudowne?

Gdyby tak było, wówczas istotnie należałoby sąd o nich zawiesić i czekać na te szczęśliwe czasy, kiedy nauka wszystkie, co do jednej, siły natury odkryje. W przypuszczeniu, że to jest możliwe, — a za możliwością tego przemawia zarówno stały i coraz szybszy w tym kierunku postęp naukowy, jak i przeznaczenie Wyższe, które, jak mówi Pismo, oddało Człowiekowi Ziemię, by ją sobie czynił poddaną, — wypadłoby na pełną tej możliwości realizację czekać przynajmniej do końca świata.

I znowu przypuśćmy, że dojrzała już nauka potwierdziła by cuda, tak, iż nasi ateistyczni łatwowiarkowie byłiby zmuszeni uchylić czoła przed niemi, zatem i przed religją, na której benefis zostały spełnione. Tem więcej, że mieliby zamknięty powrót do taktyki przeczenia autentyczności cudów, jako faktów, gdyż je sami byli uznali, no i ponieważ krytyka historyczna nie pozwoliłaby na to.

Jakaż straszna, tem straszniejsza, że niepowetowana, krzywda stałaby się przez to wszystkim ofiarom robaką wątplenia, któreby tego nie doczekały! Byłaby ona podobna do tej, która, w przypuszczeniu ziszczalności rajskich obietnic socjalistycznych, stałaby się udziałem niezliczonych pokoleń z czasów przed ich ziszczeniem, mianowicie wobec pozostawienia Nieba przez proroków raju ziemskiego — aniołom i wróblom (Bebel za Heine'n). Niebawem bowiem poświęcenia byłoby trzeba, żeby świadomie, bez wiary w Boga i bez nadziei nagrody osobistej bodaj za grobem, kłaść się krwawym nawozem pod uprawę raju dla dalekich, nieznanych pokoleń. Prawią nam wprawdzie wytwórcy i sprzedawcy haszyszu religji socjalistycznej o potrzebie i możliwości takiego poświęcenia, przelicytowując „samolubne“, rachujące na nagrodę tamtoświatową, poświęcenie chrześcijańskie; lecz sami tymczasem robią na swym „ideowym“ przemyśle i handlu bajeczne kariery i „kokosy“, pocieszając uwiedzione masy: im gorzej, tem lepiej... dla naszych judaszowych worków.

Wszakże wszechniedowiarstwo rachuje raczej na wynik przeciwny: taki, któryby wierzących, za wiarę swą prześladowanych, dla swej wiary wyrzekających się pucharu rozkoszy świata, pogrzył w otchłani straszliwego zawodu i pohańbienia, a natomiast na szczyty chwały wyniósł—przedewszystkiem stu procentowych bolszewików, koniecznych zwycięsców w wyścigu bezbożności. Dla wytłomaczenia jednak takiego potwornego epilogu wszechdziejów niedość byłoby gołego, czysto negatywnego, ateizmu. Trzeba byłoby uwierzyć, że światem rządzi szatan i że on jest bogiem.

Ale synowie tego świata nie są tak naiwni, jak synowie światłości, żeby brali poważnie obowiązek zawieszenia sądu

o cudach do czasu odkrycia wszystkich praw przyrody. Niech sobie go zawieszają katolicy! My zaś tymczasem, mówią sobie ateści, będziemy przeprowadzali swój, zgóry postanowiony, sąd ateistyczny, fabrykując z materiałów doświadczeń spirytystycznych hipotezy praw, dotąd nieznanych, cłoćby przeciwnych znanym od początku świata, i dogmatyzując je na poczekaniu. Łączą nas przecież tajemne chodniki z wiedzą tajemną, której się oficjalnie wypieramy...

Z powyższej dedukcji ad absurdum pokazuje się, że kiedy chodzi o najwyższe zagadnienia bytu, zatem także i o cuda, jako nadprzyrodzone, a działające na zmysły, dowody na prawdziwość niesprawdzalnego bezpośrednio przez doświadczenie zmysłowe Objawienia, to niepodobna bez niedorzeczności przypuścić, aby Bóg skazał ludzkość na oczekiwanie do końca świata na ich rozwiązanie, żeby więc ono było zależne od postępu naukowego.

Do tego samego wniosku dochodzimy także i oddolną drogą indukcji.

Ród ludzki posiada kryterja cudopoznawcze od początku w doświadczalnej znajomości zasadniczych praw natury. Codzienne też doświadczenie poucza, że... — dziś trzeba to stwierdzać przeciw nieprzyjaciółom cudów! — że te prawa działają koniecznie i nieodmiennie. Ogień zawsze pali to, co palne; wszystko, co cięższe od wody, musi się w niej pogrążyć; trup ożyć nie może; i t. p. Nie do pomyślenia jest siła przyrodzona, któraby się tym prawom mogła przeciwstawić sama przez się, bez pośrednictwa istoty rozumnej i wolnej. Człowiek straciłby wówczas grunt pod nogami. W jego życiu powstałby bałagan, nieco prawdziwszy od tego, którego fantazja Woltera obawiała się z powodu cudów, gdyby one były możliwe. Albowiem wszelkie prawo natury działa z reguły, wówczas gdy cud jest zjawiskiem wyjątkowym, które zasadę stałości jej praw potwierdza i którego owocem jest zawsze harmonia wyższa w świecie ducha.

Ów bałagan został zilustrowany w „Epokowym wynalazku“ J. A. Hertza, wystawionym niedawno na deskach scenicznych w Warszawie, a polegającym na zdobyciu przez naukę sposobu wskrzeszenia zmarłych. Autor zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że tym tworem swoim wyśmiał samego Tyndalla, który w ateistycznym upojeniu tryumfami nauki wróżył, że przyjdzie czas, kiedy nauka będzie wskrzeszała zmarłych istotnie.

Z tego widać, że dla rozpoznania cudowności zjawiska, bynajmniej nie potrzeba być skończonym fizykiem, ani też sadu o niem na czas nieokreślony zawieszać i apelacji do nauki przyszłości zakładać. Wystarczy znać te prawa, które wchodzi w grę w każdym poszczególnym przypadku. Naogół zaś cuda, jako przeznaczone dla najszerzych mas ludzkich, obracają się w sferze praw natury elementarnych. Zresztą, ponad masami stoi religijna powaga nauczycielska, która, nie mając sama

z siebie kompetencji w dziedzinie nauk przyrodniczych, czerpie z nich światło dla orzekania o cudach.

Jeśli przeto Trzej Młodzieńcy biblijni przechadzają się i śpiewają Bogu chwałę we wnętrzu pieca babilońskiego, którego żar zabił oprawców, co ich doń wrzucali; jeżeli Chrystus chodzi po wzburzonych falach jeziora Galilejskiego, a innym razem burzę na niem ucisza; jeżeli On również wskrzesza czterodniowego, cuchnącego już trupim cuchem, trupa Łazarza, — kilkorgiem ryb i chlebów nakarmia kilkotysięczną rzeszę, tak, że ułamki z tej cudownej uczyty wypełniają całe kosze i t. d., i t. d.: to, mając dowiedzioną przez krytykę historyczną autentyczność tych zdarzeń, jesteśmy zmuszeni uznać ich charakter nadprzyrodzony.

Podobnych zaś oraz innego rodzaju cudów pełna jest Biblia i hagjografja. I wszystko to są zjawiska poważne, celowe, piękne, godne Boga, dalekie od naiwności lub śmieszności bajek buddyjskich, mahometańskich i talmudycznych, jak również od dziwów i kuglarstw hinduskich fakirów i europejskich spirytystów czy hypnotyzerów. Jedyne w swoim bezkonkurencyjnym rodzaju, towarzyszą one wyłącznie religii objawionej.

Jeżeli są wynikiem nieznanych praw natury, to czemu nie czynią ich poganie starzy i nowi, mimo, że, jak świadczą ich ultracudowne bajdy oraz podejrzone kuglarstwa i dziwy, nie zbywa im na cudotwórczym zapale, który rodzi się z wszechludzkiego poczucia możliwości oraz pożądania cudów? Czyżby natura uprzywilejowała wyznawców wiary nadnaturalnej, która wypowiedziała bezwzględną wojnę bałwochwalczemu jej kultowi, — upośledziła zaś swoich, ubóstwiających ją, miłośników, szczącących się osobliwem w jej arkana wtajemniczeniem?

Prawda, prawda! Wolna myśl odgraża się, że, jeno patrzeć, jak zaczniesz czynić w życiu ludzkim... zamęt, skoro tylko naturę z tajemnic jej wypowiada.

Du Prell i Feré, którym spać nie dają, dziejące się ustawicznie, a sprawdzane z pełnym aparatem naukowym i nie dające się zaprzeczyć ani zabić milczeniem, cuda w Lourdes, zapowiadają sztukę czynienia cudów jeszcze większych mocą sugestji, którą utożsamiają z wiarą nadprzyrodzoną, tą, o której rzekł Chrystus: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto wierzy we mnie, uczynki, które ja czynię, i on czynić będzie i większe nad te czynić będzie“. Tymczasem jednak w Lourdes nierzadkie są wypadki nadzwyczajnych uzdrowień ludzi niewierzących, więc odpychających od siebie wszelką sugestję religijną. Łaskę uzdrowienia cudownego sprowadziła na nich wiara i modlitwa ich najbliższych. I odwrotnie: wielu głęboko wierzących nie doznało cudu. Albowiem cuda bywają nietylko nagrodą wiary, ale i pobudką do niej. Na tę ich celowość wskazują słowa Chrystusa: „Jeśli znaków i cudów nie ujrzycie, nie wierzycie“. W myśl tych słów, — uzdrowił On, na odległość, umierającego syna „królika“, który domagał się i naglił, by

Mistrz pośpieszył do jego domu. „Idź, — rzekł mu — syn twój żyw jest!”

No, ale podobno wróżba Tyndalla zaczyna się spełniać. Już dziś sztuka lekarska pozwala świeżo zmarłym przywracać życie na kilka godzin. Można się zatem spodziewać, że dalszy jej postęp doprowadzi do wskrzeszenia trupów, będących już w stanie rozkładu, i już na całe lata. Kiedy kto zacznie się ćwiczyć w noszeniu ciężarów, codzień o pół kilo większych, to w końcu może dojść do takiego herkulizmu, że zarzuci sobie choćby Giewont na bary i przeniesie go pod Warszawę. Możliwości ewolucji monistycznej są wszak bosko nieograniczone, skoro świat jest bogiem. Niech zacofańcy, niewolnicy starego Boga, głoszą sobie małoduszne: „sunt certi denique fines!” Jestto ograniczanie możliwości nieskończonego postępu, niezawodny znak wstecznictwa.

Już przed laty Jelena Bławatskaja założyła w Ameryce „Club des Miracles”. Nie powiódł się i musiała go zwinąć; założycielka coś tam za wiele pomagała upartej naturze. No, ale nauka przyszłości, nauka przyszłości! Przyszli magowie nauki spiszą się lepiej, niż teozofka rosyjska i niż sami nawet magowie w słynącej z wtajemniczenia krainie faraonów, co to się pojedynkowali na cuda z Mojżeszem.

Wierzmy i spodziewajmy się! A tymczasem, na rachunek nowej wiary i nadziei, porzucmy tę zgrzybiałą i zwyrodniałą staruszkę, którą przed dwoma lat tysiącami, jako Dobrą Nowinę, wprowadził w świat jeden z „Wielkich Wtajemniczonych” (Schuré, zachwalany przez „Gaz. Warsz. Por.”), i zapisujemy się w szeregi wyznawców religji przyszłości, niosącej nam tak wspaniałe obietnice. Wyłączone jest, aby nas miał spotkać zawód psa z bajki, który, płynąc z kawałem mięsa w pysku przez rzekę, porzucił go dla zwierciadlanej jego złudy...

Konkurencyjne względem katolicyzmu nadzieje cudotwórcze, jak widzimy, opierają się na dwóch różnych podstawach: na zdumiewających, coraz liczniejszych i coraz wspanialszych odkryciach naukowych i wynalazkach, oraz na dziwach spirytyzmu i hypnotyzmu. Rozpatrzmy je, każdą osobno.

Nadzieje pierwszego rodzaju są prosto zwracaniem głowy przez ateistów. Zamiast znajdować w odkrywanych cudach natury coraz nowe pobudki do uwielbień Stwórcy, znajdują w nich oni podjętą do walki ze Stwórcą. Mózgi ich, przesycone denaturatem ateizmu, ateizują wszystko, cokolwiek się do nich dostanie. Tymczasem dziecko ze szkoły początkowej może zrozumieć, że zjawiska nadprzyrodzone w przyrodzie nie mają nic wspólnego z dziwami nauki, takimi jak: telegraf, telefon, radio, teleskop, mikroskop, fotografia, gramofon, samochód, samolot, łódź podwodna i t. d. Podziwiać w nich trzeba geniusz ludzki, lecz jeszcze więcej Boga, który „dał takową moc ludziom” i w takie siły wyposażył przyrodę. Takie zwłaszcza radio, jak ono wybornie ilustruje wszechobecność i wszechwiedzę Bożą!

Nic z tego, że ciemnota upatruje w nich siłę nieczystą i uważa je za dzieła „Jancykrysta”. To mniemanie, w miarę osvajania się z każdym nowym wynalazkiem, przemija, a cuda pozostają cudami zarówno w przekonaniu prostaków, jak i mędrców. Genjalny franciszkanin Roger Bakon, twórca optyki i wynalazca materji wybuchowej na podobieństwo prochu (wiek XIII), posądzony przez własnych, ciemnych i zazdrosnych współbraci o czarnoksięstwo, był jednocześnie przez koła ukształcone, oczywiście katolickie, nazywany „Doctor admirabilis”.

Sam przez się fakt, że Kościół zawsze patronował wynalazcom i odkrywcom, których lwia część wydał, świadczy, z jednej strony, o tem, że on, najżywiej w tem zainteresowany, nie widzi ani cienia niebezpieczeństwa w ich wynalazkach i odkryciach dla cudów, którymi stoi; a z drugiej, że wiara w Boga jest najlepszym ich przewodnikiem, gdyż każe widzieć w naturze Rozum Najwyższy. Odgrzewane stale przez obóz ateistyczny zarzuty Drapera pod tym względem przeciw Kościołowi są tylko nędznem, nieuckiem oszczerstwem. Jedyne bolszewicka „nauka” „dowodła”, że niema Boga i że dlatego Kościół nie nawidzi uczonych.

W podkładzie przesądu, upatrującego czarną magję w odkryciach naukowych, jest pewna prawda religijna. Jest w nim podświadoma wiara w zapowiedź Chrystusową o pseudochrystach, mających czynić „wielkie znaki i cuda” dla uwiedzenia wierzących. Odnosi się ona wszakże nie do odkryć naukowych, lecz do dziwów spirytyzmu i medjumizmu. Na tem-to polu okultystycznym odbywa się istotna walka o cuda i na cuda.

Jeśli, razem z nauką, nie przeczy my jej „cudów” w naturze martwej, to, wbrew nauce oficjalnej, nie przeczy my również wiarogodności przechodzących siły natury wielu zjawisk w naturze ludzkiej, wywoływanych z pomocą medjów na seansach spirytystycznych.

Wspomnieliśmy tu już o potędze hypnotycznej sugestji, że na niej spirytyści i wogóle okultyści opierają fantastyczne nadzieje w kierunku cudotwórstwa, rzekomo naukowego. Obecnie wypada stwierdzić, że tylko w jednej kategorii cudów, t. j. w kategorii uzdrowień, i to w jednej tylko, drugorzędnej jej części, dotyczącej nie chorób organicznych, lecz funkcjonalnych, zachodzą pewne powinowactwa z dziwami hypnotyzmu. Ale i w tej również, ograniczonej kategorii—wyniki wiary nadprzyrodzonej przewyższają je o całe niebo. W Lourdes dzieją się cuda uzdrowień, graniczących ze zmartwychwstaniem lub sprawiających wrażenie nowych aktów stwórczych (dr. Boissarie). Naturalna doniosłość hypnozy ma najwidoczniej zakreślone granice, i to dość ciasne, których żadne tego rodzaju czynniki psycho-fizjologiczne przekroczyć nie mogą. Z mnóstwem dowodów w ręku wykazuje to X. dr. Wajs w swych „Dziwach hypnotyzmu”.

Pozatem, obok pokrewieństw lub pozornych tylko podobieństw, między cudami a rzeczonymi dziwami zachodzą prze-

ciwieństwa przepastne, nie tylko jak między niebem a ziemią, lecz nawet jak między niebem a piekłem.

Dziś, w wieku XX, mnożą się poważni pisarze, którzy zniezłomną logiką oraz imponującą erudycją podnoszą starodawną pogląd Kościoła na praktyki spirytystyczne, jako magię czarną. Hypoteza demonistyczna, sama jedna z pośród kilku innych, tłumaczy nam całkowicie wiele zjawisk zagadkowych i w ich świetle zwrotnem znajduje własne potwierdzenie. Pod osłoną modnego, działającego magicznie, frazesu o niezgłębiomych tajemnicach natury, rzeczoznawcy tacy, jak O. Franco, którego „L'ipnotismo tornato di moda” doczekało się już 20 wydań włoskich, Godfrey Raupert, u nas X. dr. Nitecki („Zjawiska spirytyzmu w świetle Nauki i Objawienia”), pokazują nam przeciwne naturze tajemnice z bieguną przeciwbożnego, istotnie niezgłębione.

Sprzeczność tych zjawisk z prawami natury jest właśnie powodem odżegnywania się od nich ze strony nauki akademickiej. O fizykalnych tłumaczeniach ich powiedział August de Morgan, medjumista angielski, że są one „bardzo łatwe, ale aż budzą politowanie swoją nieudolnością”. Tyndall i Faraday, którzy spirytyzm potępiali, zgodnie orzekli, że gdyby zjawiska spirytyzmu były prawdziwe i tłumaczyły się naturalistycznie, runąłby cały gmach nauki.

Ale w murze uprzedzeń świata naukowego przeciw wiarygodności nieprawdopodobnych z punktu nauki zjawisk został zrobiony już wyłom. Rzeczywistość ich została stwierdzona i uznana; lubo są jeszcze naukowe „twierdzenia grenady”, które, przeczuwając niebezpieczeństwo kompromitacji afery spirytystycznej, bronią się uporczywie przeciw ich uznaniu. Powstała nowa o nich nauka, ochrzczona mianem metapsychiki przez Richeta, jednego z tych uczonych, którzy długo usiłowali byli odpędzić tę zmorę w świat bajek o wilkołakach. On też określił metapsychikę, jako naukę o faktach, pochodzących od nieznannej inteligencji. Cenne wyznanie ze strony fizjologa, nie uznającego świata duchów. Interwencja tajemniczej siły inteligentnej uderza tu tak dalece, że nawet on zmuszony był ją uznać.

Karol Richet odrzuca zarówno hipotezę demonistyczną, jak i spirytystyczną, dlatego też owa inteligencja jest dlań „nieznana”. Ale słowo się rzekło! Uznało się udział tajemniczej inteligencji, bo zresztą nie uznać jej niepodobna. Jako rzecz nieunikniona, nie było to nawet ryzykiem ze strony Richeta. Ale to nam wystarczy, by, z pełnemi rękoma dowodów doświadczalnych,—wyłączwszy dusze zmarłych i rozdymaną tendencyjnie podświadomość medjów oraz uczestników seansów,—pod nieznaną inteligencją richetowską podstawić „czarnego jęgomocia”. Tak też czynią z zupełnem powodzeniem obrońcy teorii demonistycznej, nadając jej moc pewnika. Żadna bowiem inna, pozatem, inteligencja nie jest tu do pomyslenia, a fakty pasują doskonale do nadludzkiej inteligencji złego ducha.

Toteż będące w mowie zjawiska nie są bynajmniej żadną nowością, zatem i owocem postępu naukowego, mogącym budzić „piękne” nadzieje cudotwórcze na przyszłość. Takim owocem są tylko, neutralne religijnie, wynalazki, oparte niewątpliwie na siłach natury; natomiast o dziwach spirytyzmu i medjumizmu trzeba rzec z Ben Akibą rozczarowujące: „wszystko to już było”.

Są to wieczne przejawy demonolatrii, występujące tylko z większym dziś aparatem naukowym. Zagorzały, a potem nawrócony spirytysta Dupotet powiedział: „spirytyzm jest starym, przebranym w strój nowoczesny, czarnoksięstwem. Z początku sądziłem inaczej. Patrzałem, a nie widziałem, dlatego, że... zamykałem oczy, aby nie patrzyły i nie widziały”. Podobnie Cahenet: „Przyczyną tych zjawisk jest zły duch, nie kto inny. Spirytyzm to nie wynalazek naszych czasów, ale to starożytność unowocześniona”.

Słowem, to starodawna, poczęta już pod drzewem Wiadomości w raju, wiedza tajemna, wykwit buntu przeciw Bogu, w zasadzie, podobnie jak i cuda, całkiem od postępu naukowego niezależny. Pierwszy seans spirytystyczny, a raczej demoniczny, odbyła już pramatka rodu ludzkiego, a pierwszym medjum, w braku ludzi, był Wąż. Ród medjów z biegiem czasu, rozmnożył się w całe bandy wróżbitów, czarowników, kuglarzy i „praktykarzy”, jak nazywa ich Wujek. Rozumny cesarz August musiał wypędzić tę holotę z Rzymu.

Jeśli to wiedza, tedy wie, a nie potrzebuje dopiero się dowiadywać stopniowo, w zależności od postępu naukowego; a jeśli to wiedza tajemna, tedy wie o jakiejś tajemnicy, którą konspiruje, jako rzecz niebezpieczną, będącą źródłem władzy terrorystycznej i zysków, ściganą zaś przez prawodawstwo moźeszowe, następnie i chrześcijańskie. Odwoływanie się przeto, w imię tej wiedzy z pod ciemnej gwiazdy, do nauki przyszłości jest albo szalbierstwem, albo niepoczytalną naiwnością, dającą się wodzić za nos szalbierstwu.

Jak cud towarzyszy religii objawionej, tak wiedza tajemna ze swemi dziwami, falsyfikatami cudów, jest stałą, a charakterystyczną dla niego towarzyszką pogaństwa. Pojawia się też ona z powrotem i panoszy w świecie chrześcijańskim w miarę tego, jak słońce Ewangelji ulega zaćmieniu, a noc pogaństwa powraca. Odrodziła się wraz z odrodzeniem literatury i sztuki klasycznej, podobnie jak przedtem niewolnictwo i tortury—z odrodzeniem prawodawstwa rzymskiego. Dziś demonizm grasuje na dobre pod firmą spirytyzmu, jako niby reakcja spirytualistyczna przeciw grubemu materializmowi wieku 19, gdy sam jest również materializmem, tylko wysubtelnionym i poza grób wydłużonym. Jestto dywersja, mająca surogatem spirytualizmu przynęcić stęskniony za strawą duchową świat i zabezpieczyć go przed „niebezpieczeństwem” powrotu do Kościoła. W tym celu Allan Kardeck (pseudonim okultystyczny

Hipol. Rivaila) stworzył pod dyktando demoniczne religię spirytystyczną — przeciwieństwo chrystjanizmu, ubrane w szatę chrześcijańską. Aprobuję go pozornie, by weń tchnąć ducha antychrystycznego i skazać od wewnątrz. To ideologiczna spirytizmu korona.

Pojawienie się tego narkotycznego kwiatu zła jest znakiem złowróbnym. Zwiastuje on Złą Nowinę panowania złego ducha. W kołach wtajemniczonych uprawia się kult jego świadomie, a masy doń się stopniowo przygotowują pod osłoną obcowania z duszami zmarłych.

W istocie jest to zabawa w ciuciubabkę z diabłem, którą się szerzy ze swobodą demokratycznej wolności złego. Z ruchem tym, dumnie einzeln marschierend, spódziła teozofizm, przypisując nauce Chrystusa, jako „jednego z licznych nadludzi”, charakter ezoteryczny i egzoteryzując ją antychrystycznie. Jednocześnie tu i tam wyszydza się wiarę w „jego ogoniastą moc” (Graves: „Biografia szatana”) i oburza na jej bojowe przejawy wśród ludu.

Ciekawy pod tym względem fakt. Rok temu z górą zszedł u nas wypadek, ochrzczony przez prasę lewicową mianem „inkwizycji wieliszewskiej”. Chodziło o akt samosądu chłopskiego nad mniemaną czarownicą we wsi Wieliszewie pod Warszawą. Lewica miała z tej okazji wielkie używanie na ciemności ludu „ósemkowego” (cała gmina wieliszewska głosowała na ósemkę). Pokazało się, że to lud „z piekła rodem”!

Któż to jednak szerzy zabobon nekromancji, poza którą ukrywa się szatan? Cała różnica umysłowa między wieliszewskimi bohaterami samosądu a warszawskimi nekromantami polega na tem, że zabobon tych drugich został „unaukowany”. „Ze zwykłego, pomiatanego zabobonu — pisze w „Potędze spirytizmu” Kirchner — powstała nagle (?) wiedza”. Zresztą i on również z wyżyny „wiedzy” pomiata zabobonem, tej wiedzy rodzicem. Gorzej się przedstawia moralna strona sprawy. Tamci bowiem, ciemni zabobonicy mają za sobą okoliczność łagodzącą w tem, że w podkładzie ich barbarzyństwa była prawda, tylko źle zrozumiana. W swem przekonaniu walczyli oni z szatanem, jak i ów chłop z pod Łodzi, który w udalym na podziw noworodku, istnem wyrwidąbczątku, dopatrzył się z przerażeniem antychrysta i go zamordował. Natomiast ci zabobonicy oświeceni, lubo bezwiednie, jednak faktycznie, występują się szatanowi, co jest zbrodnią duchową, bez porównania gorszą od zbrodni gwałtu nad rzekomą czarownicą. Któż więc jest „z piekła rodem”?

Niestety, gdy tamci zostali ukarani więzieniem, to ci używają i nadużywają wolności, gdyż społeczne prawodawstwo świeckie jest wolne od takich „przesądów średniowiecznych”, jak wiara w rzeczywistość szatana.

Szatanowi w to graj!

Masoneria konspiruje się według zasady, że ją ludzie

„powinni wyczuwać wszędzie, a nie powinni odkryć jej nigdzie”, tak, aby można było z powodzeniem drwić z „naiwności” wierzących w jej istnienie i złowrogie jej dążenia. Jest to taktyka oryginalna złego ducha, którą ten konspirator zaświatowy i gracz nad gracje potrafi stosować lepiej od swoich naśladowców. Dyktuje mu ją, podobnie, jak wszelkim stowarzyszeniom tajnym, własna jego groza, bo tylko z pomocą podstępny może się on stać panem świata i, po okresie karesów, urządzić mu czczewyczajkową inkwizycję, wobec której nie tylko inkwizycja wieliszewska, lecz sama inkwizycja hiszpańska, choćby wzięta razem z tą górą oszczerstw, jaką na nią zwałił liberalizm, okaże się drobiazgiem, jak się już okazała w państwie czerwonych carów.

Kiedy sprawa wieliszewska była na wokandzie dziennikarskiej, ukazało się dzieło p. Norberta Okołowicza p. n. „Wspomnienia z seansów z medjum Frankiem Kluskim”. Na łamach jednego z czerwonych dzienników nastąpiło wskutek tego krótkie spięcie między obu temi sprawami i wystrzelił stąd osobliwy efekt, któryśmy dopiero zanalizowali. Ukuwszy ze sprawy wieliszewskiej, na jednej stronie, grot polityczny i puściwszy go przeciw prawicy, na drugiej czerwoniak rozpiął się z zachwytem o książce Okołowicza w artykule p. n. „Goście z tamtego świata”.

Zachwytał się: „Dość powiedzieć, że wśród 250 zjaw, które się ukazywały na seansach z Kluskim, obecni rozpoznali 88 zjaw osób znajomych, a zmarłych”.

Co z tego, — gasimy czerwone zachwyty — skoro literatura spirytystyczna zna mnóstwo faktów materjalizacji, w których rzekome zjawy zmarłych nie wiedziały nic więcej prawdziwego z własnych stosunków rodzinnych poza tem, co wiedziało medjum i uczestnicy seansów; skoro je przychwytyano na kłamstwie; no i jeszcze, skoro nieraz zachowywały się b. nieprzystojnie lub niegrzecznie wobec własnych ukochanych?

„Zjawy — zachwyca się dalej czerwony recenzent — dają się fotografować (a któż oszuka aparat fotograficzny?!), słyszą i starają się spełnić wiele życzeń obecnych, prowadzą z nimi rozmowy, pozwalają się dotykać..”

Zapewne, aparat fotograficzny nie może być oszukany, ani też sam nie oszukuje. Niestety, nie chodzi o to, czy został oszukany aparat, lecz o to, czy, za jego pośrednictwem, nie zostały oszukane, przez jakąś inteligencję nieznaną, inteligencje ludzkie, które oszukane być pragną i których pragnienie to gotów zawsze spełniać wielki kuglarz zaświatowy. Nie chodzi o rzeczywistość zjaw, dziś już bezsporną, lecz oto, kto zaczął one? Czemuż to one biją drwiących sceptyków po buzi i po karku, by w ten sposób zadokumentować swoją realność?

Co to znaczy, że w Sandgate, hrabstwie Kent, na seansie pokazało się mnóstwo rąk i ramion wszelkiego kształtu i wielkości, z których jedne były złożone modlitewnie, inne

wskazywały na niebo, a jedna z nich przerzucała karty leżące na stole Biblii i w końcu wskazała na słowa Ewangelji: „Błogosławione wasze oczy, iż widzą, i wasze uszy, iż słyszą. Albowiem, zaprawdę, mówię wam, iż wielu proroków i sprawiedliwych żądali widzieć, co widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli?” Co to znaczy?

Objawienie spirytystyczne zamiast Chrystusowego? Taka droga? To nie Siebie samego i nie Swoją naukę i nie Swoje cuda Chrystus temi słowy wskazywał, lecz zabobon spirytystyczny? To ten zabobon i te, na jego tle, zjawiska, nie są odgrzaną starzyzną, lecz są nowością?

To dopiero po upływie 19 wieków spełniło się to, o czym Chrystus mówił w czasie teraźniejszym? Trudno o świętokradstwo, spełnione nabożnie, i większe mistrzostwo w obłudzie! I któż nie wyczuje tu obecności „ojca kłamstwa”? Jedynie ślepcy dobrowolnie ocierają się tuż o niego i go nie poznają. Ano, są logiczni: nie można poznać tego, czego niema, oni zaś powiedzieli sobie zgóry, że djabeł jest tylko poetycką fikcją. Nie wiedzą, że są już w jego sidłach i znajdują się już u wrót bolszewickiego „credo”, choć w formie muzyckiej: „Boga niet, no czerti jest!”

Jeszcze jedna naiwność lewego łatwowiarka:

Fachowi pisarze spirytystyczni ujmują wyrażenie „tamten świat” w znaczące cudzysłowy. W przekonaniu ich bowiem, tamtego świata w znaczeniu pospolitem zgola niema. To, co oni zowią tamtym światem, należy jakoby do tego świata, a nazywają to tak dlatego, iż jest w zwykłych warunkach niewidzialne, niby w czwartym wymiarze. Ponieważ jednak znajduje się pośród nas, przeto może się nam objawiać prawidłowo, jak każde inne prawo natury, — a to za pośrednictwem medjów. Tymczasem czerwony scribax pisze o „gościach z tamtego świata” w znaczeniu chrześcijańskim. I któż teraz ośmieli się nie uważać go za chrześcijanina?

Metoda zwalczania Chrześcijaństwa z pomocą malpującego jego cuda Schwarzkunstu, znana już i w Starym Zakonie, datuje się od Szymona Maga, który wielu „poszalił swemi czarnoksiężstwami” (Dzieje Ap.). A jeszcze okres prześladowań fizycznych nie minął, bo w 3 już wieku, na dobre chwycili się jej gnostycy i neoplatonicy, poprzednicy masonerii. Celem wykazania, jakoby cuda ewangeliczne były zjawiskami naturalnymi i przeto nie mogły stanowić dowodu na Bóstwo Chrystusa i boskość Ewangelji, wyczyniali ich falsyfikaty. (A więc znali — niby nieznane — tajemnice — niby przyrody!).

Za dni naszych pisarze spirytystyczni, jak Kardea, Zöllner, Perty i inni, tak samo naturalistycznie, niby naukowo, tłumaczą cuda ewangeliczne. Np. chodzenie po morzu było ekstazycznym unoszeniem się w następstwie modlitwy na górze: modlitwa jakoby rozwiązała siły, uzdalniające do unoszenia się.

Zmartwychwstanie było „poprostu” zjawiskiem materjalizacji bez pośrednictwa medjum; Chrystus wziął materiał z własnego ciała, które wskutek tego znikło bez śladu. Żyd włoski, Cezar Lombroso, bluźnierca Chrystusa i potwarca geniuszu ludzkiego obrońca zaś zbrodni, utrzymywał czelnie, że zjawiska, towarzyszące Zesłaniu Ducha św. na apostołów, miały także charakter spirytystyczny: albowiem i na seansach, wśród czterech ścian, zachodzą niesamowite powiewy, a nad głowami zebranych ukazują się ruchome ogniki.

Naturalnie, i zjawisko opętania (obsesji), pospolite za czasów Chrystusa, tłumaczone jest spirytystycznie: nie zły duch bynajmniej, lecz dusze nieboszczyków opętują żywych. Świeżo, dr. Karol Wickland, lekarz z Los Angeles, w uniwersytecie londyńskim demonstrował na żonie jednego z lekarzy londyńskich — nie jakieś tam średniowieczne egzorcyzmy, lecz nowoczesne, pełne uprzejmości, wypraszenie „ducha nieboszczyka”, który sobie upodobał p. lekarzową, z pomocą kunsztownej oracji. Na razie, według doniesień prasy, zdołał skłonić ducha do uśmiechu, zapewne ustami pacjentki, co miało być dobrym znakiem, rokującym zupełne powodzenie sympatycznego zabiegu.

Należy zaznaczyć, że dr. W. przypisuje te opętania, nie złośliwości, lecz głupocie duchów nieboszczyckich. Zdaje się jednak, iż zaszło tu pospolite qui pro quo, zwane sądem po samym sobie. Nie utrzymujemy zresztą, żeby to był wypadek opętania prawdziwego.

Te monomanjackie majaczenia spirytystyczne warte są spirytystycznych fantazjowań na temat życia dusz ludzi zmarłych, że one wiodą żywot bardzo do naszego podobny i mają nawet swoje... knajpy! Knajpy w czwartym wymiarze. Jakżeby bowiem obyć się bez nich mogła dusza, która do nich w trójwymiarowej przestrzeni była przywykła?

Z okazji tegorocznych świąt wielkanocnych, prasa donosiła jako sensację, że pewien pastor amerykański nauczał z katedry, że dowodem prawdziwości Zmartwychwstania są materjalizacje rzekomych dusz nieboszczyków. Nie doniosła jeno, czy wytłumaczył on swoim słuchaczom, czemu tym razem rzekomy akt materjalizacji wymagał zużycia wszystkiej materji zwłok bez reszty, no i dlaczego w takim razie nikt więcej, prócz Chrystusa, w ten sam „naturalny” sposób nie zmartwychwstał, bez pomocy, czy choćby z pomocą medjum?

Podobnie co do chodzenia po morzu można zapytać, czemu Chrystus chodził po nim raz tylko jeden, gdy tyle razy, a zawsze ekstatycznie, się modlił, oraz gdy tak często z morzem Galilejskim obcował? No i czemu także i Piotr szedł do Chrystusa po morzu, choć nie był po modlitwie, a szedł na samo wezwanie Mistrza, począł zaś tonąć, skoro tylko lęk go ogarnął?

Jak łatwo z tych przykładów zmiarkować, spirytystyczne

tlomaczenia cudów wykraczają daleko poza znane zjawiska spirytyzmu i działające w nich siły tajemne,—są jak ubranie karia, które się chce gwałtem wciągnąć na olbrzyma. Ubranie rozciąga się do pewnych granic, lecz w końcu pęka i ujawnia goliznę spirytystycznej blagi.

Ów pastor amerykański to wcale nie unikat na gruncie protestanckim. Bardzo wielu tych panów, tytułujących się u nas i tytułowanych przez nas, katolików, księźmi, stosuje na kazalnicy wykładnię spirytystyczną. Postęp obowiązuje, chociażby prowadził samych przewodników duchownych do Antychrysta.

Pojmowanie ukrytych sił w naturze, które operuje i wokuje okultyzm, ma w nim charakter mistyczny, zatem daleki od naukowego pozywityzmu. Fundamentem wszelkiego okultyzmu jest teoria tak zwanych „planów“.

Istnieje jeden jedyny ośrodek siły, z którego ona promieniuje jakoby niezmierny ocean. W każdej grupie jej fal siła ta się różnicuje. W miarę zagłębiania się w nią, przechodzi się przez plan fizyczny, fluidyczny, astralny, mentalny, woluntarny itd.—bez liku. Wtajemniczenie polega na wejściu w świadomy stosunek z planem nowym. Według ulubionego przez okultystów porównania, plan fizyczny jest jak widzialne widmo słoneczne, złożone z całej serji barw, odpowiadających różnym wibracjom, wzbudzonym w eterze przez ciało świetlne. Poza promieniami fizycznymi, zaraz po nich, istnieje dział promieni, zwanych ultrafioletowemi. Te promienie, dla naszego wzroku niedostrzegalne, wywierają potężne działanie na ciała złożone, skąd ich nazwa promieni chemicznych. W ten sposób, poza planem fizycznym rozciągałaby się cała serja planów, rzeczywistych i czynnych, jakkolwiek niedostępnych dla naszych zmysłów.

Na tle tej fantastycznej teorii okultyści, co wybitniejsi, fantazjują wedle indywidualnych upodobań i tworzą „szkoły“.

Jeden z takich twórców pojawił się, już po wielkiej wojnie, we Francji. Jestto Paul Sédir (pseudonim Yvona Leloup), twórca szkoły „des Amitiés Spirituelles“, monoman miłości bliźniego, opartej na podstawie teorii panchrystyzmu, t. j. panteizmu pod postacią chrystyczną. „Świat — powiada on — jest materjalizacją Słowa, a Jezus sercem Świata“. Miłość braterska to cała religja. W poświęceniu dla bliźnich uczeń Chrystusa znajduje Boga, i nie znajduje go nigdzie indziej, tylko tu. (To znaczy, że metafizyka na nic!). Chrystus jest Bogiem w najdoskonalszym i najpełniejszym znaczeniu. Napróżno niektórzy czynią Go uczniem eseńczyków, lub braminów. Chrystus nie miał nic do nauczenia się od kogokolwiek, gdyż wiedział wszystko sam z siebie od urodzenia. (Czy można mówić bardziej po katolicku? Lecz oto sztyło okultystyczne wychodzi na wierzch). W Chrystusie łączą się wszystkie plany, i właśnie przez rozporządzanie w sposób suwerenny różnymi planami czynił On cuda, o których mówi Ewangelja.

W rzeczywistości — dowodzi Sédir dalej — święci, właściwie mówiąc, cudów nie czynią. Teologowie i apologetci myślą się co do tego gruntownie. Okazują oni na planie fizycznym to, co jest na planie tajemnym. Chrystus również działa na różnych planach, lecz przez interwencję bezpośrednią: oto gdzie jest cud!

Sédir daje charakterystyczny przykład.

„W rzeczy samej, ten, kto miłuje bliźniego swego, jak samego siebie, wie wszystko. Mówię to wam ja, ponieważem to widział; sprawdziłem to, nie na sobie, lecz na człowieku jedynym, któremu poznał, który rzeczywiście kochał bliźnich. Jego pieniądże, jego czas, jego wiedza, jego dobroć — wszystko było do ich rozporządzenia; nigdy nie myślał on o sobie, nigdy nie troszczył się o to, z czego będzie żył jutro, nigdy z kwitkiem nie puścił nieszczęśliwych, najbardziej beznadziejnych. Otóż ten człowiek wiedział wszystko. Również dobrze rozwiązywał zagadnienia rachunku całkowego, jak wskazywał miejsce na pustyni, gdzie możnaby znaleźć ruiny, lub też wahania giełdowe w tygodniu następnym. Zawszem stwierdzał doskonałą ścisłość najmniejszej z jego wskazówek“ („Les forces mystiques“).

Lucien Roure, autor dzieła „Au Pays de l'Occultisme, ou par delà de Catholicisme“, z którego czerpię te szczegóły, odpowiada na to z pobłażliwym uśmiechem:

„Sw. Franciszek z Asyżu i św. Wincenty a Paulo, którzy uchodzą dość powszechnie za bohaterów miłości bliźniego, zdaje się, nie byli obdarzeni taką wszechmocą. Lecz sam Sédir stwierdził, iż jego człowiek rozwiązywał zagadnienia rachunku całkowego, wskazywał miejsca ruin w pustyni i stan giełdy jutrzejszej. Oto, czego się zgoła nie czyta w Kwiateczkach Świętych, ani w Złoty Legendach“.

Oto, dodajmy, cuda okultystyczne, dziejące się na planach pozafizycznych, nie mających nic wspólnego z trzeźwą metafizyką, ani też z afirmatywnym światem nadprzyrodzonym.

Takim samym telepatycznym „prorokiem“, jak pewien człowiek Couego, był zmarły niedawno żyd nowojorski pochodzenia polskiego, Reese. Był on przytem również miłośnikiem bliźnich, co pokazuje się z jego działalności. Mianowicie, darem swoim służył giełdciarzom żydowskim i pomagał im robić majątek. Po szeregu atoli powodzeń przyszła serja niepowodzeń i „prorok“ musiał porzucić działalność charytatywną.

Przedewszystkiem jednak okultyści, zarówno z odgałęzienia spirytystycznego, jak i teozofistycznego, kręcą się około zdrowia ludzkiego i na „cudach“ uzdrowień robią nieraz bajeczne kariery. Jak: histeryczka Mary Baker, znana pospolicie pod nazwiskiem Mrs. Eddy, założycielka warjackiej „Christian Science“ albo „Kościoła wiedzy“ (sentyficyzmu), Emile Coué Cu-

dotwórcą, Antoni Uzdrowiciel i różne Béziaty. Są to ludzie pomyleni, lub zgoła szarlatani, niepospolite typy znachorów.

Teorie ich, z pozoru chrześcijańskie, zawsze mają podłoże panteistyczne, tak nadające się do flancowania na niem patronowanego przez masonerję kultu sił ukrytych. Ożywia je i znamionuje tendencja do naturalizacji Nadprzyrodzonego, więc Chrześcijaństwa z jego cudami, czyli do jego zniszczenia. Ale Nadprzyrodzone jest zgodne z rozumem, przeto próby jego naturalizacji kończą się pomysłami, przeciwnymi rozumowi. Odzucając Niepojęte, mówi Ernest Hello, okultyści wpadają w niezrozumiałe.

Ale panteizm to w praktyce ubóstwienie człowieka, źródło wszelkich szaleństw, szaleńczych mirażów przyszłego, rozwiniętego boga—Ludzkości, kiedy ukryte rzekomo w nim siły zostaną w pełni wyzwolone i opanowane. Tymczasem ten „bóg” cierpi, choruje, umiera. Zjawiają się przeto pseudochrystusowie i podejmują się „cudownego” leczenia, opartego na rzekomych siłach ukrytych. Zdrowie fizyczne, to niszczone świadomie wyuzdaniem zmysłowem zdrowie, zostaje wyniesione do godności bożyszczka, przedmiotu kultu religijnego, celu religii. Na tym szczególnie gruncie rozwija się współzawodnictwo z Chrystusem w nadużywane świętokradzko Imię Chrystusowe.

Spółzawodnictwo to, oczywiście, może być tylko małpowaniem Chrystusa. Mistrzuje w tem szatan i z pewnością nie opuszcza pięknych sposobności do pokazania tego, co umie, a co przekracza najskrytsze siły natury ludzkiej. Nie darmo już stary, genialny Tertuljan, piętnując okultystyczne małpiarstwa cudów ewangelicznych i przypisując je interwencji szatana, nazwał go „małpą Boga”. Wzbogacona doświadczeniami średniowiecznymi i nowoczesnymi nauka katolicka może już tylko przyklaskiwać temu, trafiającemu w sedno rzeczy, rozwiązaniu problemu okultystycznego z przed 16-u zgorą stuleci.

Okultyzm jest jak struś z bajki Lessinga, zapowiadający z hałasem swój lot podniebny nad morzem, a spadający na okręt w porcie, zaledwo się wzniósł ponad ziemię. Tylko że ten struś mistyczny spada w mistyczne odchłanie...

Zaledwo pobieżnie, w szerokich tylko uogólnieniach, ilustrując je niekiedy przykładami, omówiliśmy sprawę cudów, by okazać nicość twierdzenia, że nauka nie zdoła sprawdzić żadnych wogóle cudów, ponieważ nie zna wszystkich sił natury. Okazaliśmy, iż rzekome tajemnice natury, do których odwołuje się, czyto wiedza jawna, czyto tajemna, są fikcyjnym płodem szalbierstwa, które wyzyskuje nieuctwo historyczne mas inteligentnych, by im za rzeczy nowe podawać rzeczy stare, jak świat, zakonspirowawszy je w celach, które światła jawności nie lubią. Tu najgłębiej sięgają słowa Chrystusa przeciw tym, co „umiłowali raczej ciemności, niż światłość, bo były złe ich uczynki”.

Tu są one złe demonicznie, szukają też podziemnych ciemności konspiracji. A ten głupi „mundus”, który „vult decipi”, zasługuje na coś więcej, niż na cycerońskie: „nie wiedzieć, co było przed tobą, znaczy być wiecznym chłopaczkiem” — „nescire quid ante te fuerit, it est semper puerum esse”. Zasługuje na piętno Pawłowe, którem on napiętnował przepowiedziane przez siebie czasy, kiedy ludzie zdrowej nauki nie ścierpią, ale, mając świerzbujące uszy, według swoich poządliwości nagromadzą sobie uczytelów i od prawdy słuchanie odwrócą, a ku baśniom się obróca. Ku Piotrowym baśniom „misternym”, to zn. uczonym („doctae fabulae”), odpowiadającym „stultitiae doctae”, a zgubnym.

Oparta na szalbierstwie apelacja do nauki przyszłości jest więc tylko apelanckim wykretem, obliczonym na odkładanie rozstrzygnięcia sprawy ad calendas graecas, by móc ją tymczasem traktować jakoby rozstrzygniętą ujemnie. Pospolita sztuczka, przypominająca apelacje heretyckie „ad papam melius informandum”.

Sam przez się fakt istnienia cudów fałszywych dowodzi istnienia cudów prawdziwych, podobnie jak pieniądz fałszywy dowodzi prawdziwego, gdyż na jego obiegu swój obieg opiera. Jak zaś tamte są dowodem interwencji demonicznej, tak te wskazują na interwencję Boską. Istoty rzeczy nie zmienia okoliczność, że dookoła cudów demonicznych krążą roje kuglarstw pospolitych lub też zjawisk naturalnych, poczytywanych błędnie za nadnaturalne, a dookoła cudów Bożych krążą roje legend i cudów mniemanych. Pod osłoną tamtych szatan się po złodziejsku przemycą; poprzez osłonę tych—cudotwórcza Opatrzność przebiją się zwycięsko, jak promienie słońca poprzez jasne, przejrzyste obłoki. Daremne wysiłki, by jedne i drugie znaturalizować i, spakowawszy razem wszystko do jednego worka naturalizmu, pozbyć się za jednym zamachem, i Boga, i szatana.

Niech więc sobie odstępcy, jak Renan, i żydzi, jak Spinoza, utrzymują, że nauka nie zdoła sprawdzić, czy cuda są cudami, ponieważ nie zna wszystkich sił natury. Opartej na faktach i zgodnej z rozumem nauki katolickiej wrzucić to nie może. Jeżeli zaś, jak to czyni nasz Autor, dopuścić możliwość negacji Renanów i Spinozów, to na jakiej wówczas podstawie wierzyć w cuda, następnie i w boskość popartej cudami nauki, skoro podstawa rozumowa tej wiary została usunięta?

Sam Chrystus powoływał się na nią: „choćbyście mnie nie wierzyli, wiercież uczynkom!” Nie można bez wątpliwości wierzyć Chrystusowi, mając naukową wątpliwość co do Jego „uczynków”, to zn. cudów, mimo że On sam na nie się powoływał z naciskiem, jako nie podlegające rozumnemu wątpleniu. Owszem, mimo że sami nawet najwięksi Jego wrogowie, pontyfiksi i faryzeusze, nie śmieli prawdziwości ich zaprzeczyć.



„Cóż uczynimy — spiskowali — albowiem ten człowiek wiele cudów czyni?” A było to po największym i najniezaprzeczalniejszym Jego cudzie: po cudzie wskrzeszenia Łazarza.

Po usunięciu przedmiotowej, poznawalnej rozumem, podstawy wiary w cuda, wślad za tem — i wiary wogóle, pozostaje jej oparcie jedyne na ruchomych piaskach uczuć podmiotowych, na których nic trwałego zbudować nie można i które nie dają punktu oparcia dla dźwigni apologetycznej ku podważeniu zbrojnych w rozum dowodzeń niewiary. Co gorsza, w miejsce pewności przedmiotowej, — w podstawy apologetyki, w rozumowe fundamenty wiary, a stamtąd i do niej samej, dostaje się niewidzialnie termit wątpienia i pożera celulozę dogmatu, t. j. wewnętrzną treść jego, pozostawiając samą tylko jego powierzchnię — literę, a w niej próchno nihilizmu.

Oto i jest pełny, oparty na kantejskim agnostycyzmie, modernizm. Charakteryzuje go właśnie ta podwójna buchalterja poznawcza, której mocą przeczy się rozumem tego, co się twierdzi wiarą, i, w następstwie, wszystkie plusy rozumowe wpisuje się na rachunku negacji. Rozum, rzekomo nieudolny ku poznaniu prawdy absolutnej, okazuje się udolnym ku jej wywróceniu. Nie może on bowiem nie działać, ani się zaprzeczyć swej rzeczywistej udolności faktycznie. Zapiera się jej spekulatywnie, aby podstępnie wywracać.

Osobiste, mimo to, przekonanie wewnętrzne o mocy wiary subiektywnej i zachowanie jej w sobie nienaruszoną w jej treści obiektywnej, — jako pozbawione gruntu, jest z punktu logiki niekonsekwencją, a z punktu psychologii samozłudą, pozbawioną siły udzielenia się komukolwiek w sposób autorytatywny. Jeżeli bowiem religja jest sprawą tylko subiektywną, to może ona mieć znaczenie conajwyżej w życiu indywidualnym, a nie ma podstaw do walki o wpływy w życiu społecznym; słowem, nie może wyjść z zaczarowanego koła subiektywizmu w świat zewnętrzny.

To zaś stanowi modernizantyzm i, mojem zdaniem, ten jest błąd umysłowy Autora. Na jego dobro moralne wypada, że nie wyciągnął on zeń wszystkich, zawartych w nim, konsekwencji.

O słuszności postawionego Autorowi zarzutu świadczy i to, co mówi on w dalszym ciągu:

„Zadne dowodzenie obrońców wiary nie daje, z natury rzeczy, pewności matematycznej; a z drugiej strony nie brak też faktów bardzo licznych, które zdają się przemawiać za tezą niedowiarstwa, jak: trudności nieprzewyciężone, które udaremniają najlepsze nieraz zamiary, jak straszne katastrofy, spadające od czasu do czasu na lepszą część ludzkości. Są w dziejach świata zagadki, niemożliwe do rozwiązania, ale są też sze-

regi wydarzeń, które przekonywają ludzi wierzących, że nimi rządzi — Bóg“.

W urywku tym uderza nas znowu dwoistość, brak stanowczości, chwiejność, słowem — relatywizm, lubo nie absolutny, gdyż, bądź co bądź, Autor przechyla się na stronę wiary.

Zajmijmy się naprzód argumentem „matematycznym“.

Jestto wogóle ulubiony konik Autora. Dosiadają go con amore także i moderniści, choć zapędzają się na nim bez porównania dalej od niego.

Jeśliby ten dowód wziąć bezinteresownie, to Autor ma słuszność zupełną. W naturze dowodów na prawdy religijno-moralne nie leży charakter pewności, jaki posiadają z natury pewniki matematyczne. Wszakże to nie filozofja katolicka ubiega się o taki charakter pewności dla swoich twierdzeń. Jestto ekstrawagancja półracjonalistycznych i zarazem hyperortodoksyjnych spekulacyj Hermesa, Günthera i Froschhammera, — u nas Wrońskiego i Lutosławskiego. Łudzili się oni możliwością dowodzenia prawd objawionych na sposób matematyczno-przyrodniczy, tak, iż wiara przestałaby być wiarą, a stała się wiedzą. Kościół takie jej pojmowanie odrzuca, gdyż ono ją wypacza, lubo zdaje się wypadać na jej korzyść.

Cui bono zatem podkreślanie faktu, że apologetyka katolicka nie daje pewności matematycznej? Jestto konsekwentne przeprowadzanie w dalszym ciągu — relatywizmu. Atoli, poza pewnością ściśle matematyczną, rodzącą się z pośredniej lub bezpośredniej — zależnie od indywidualnej siły umysłowej — oczywistości prawd matematycznych i zniewalającą umysł fizycznie, — istnieje pewność niemniej absolutna, która zniewala umysł moralnie.

Taką pewność absolutną, jak to zostało już tu stwierdzone, posiada filozofja katolicka w obchodzących nas tu przedewszystkiem swoich prawdach religijno-moralnych. Absolutnie pewne, są one też absolutnie same w sobie i noszą na sobie, właściwe pewnikom matematycznym, znamiona wieczności i niezmienności.

W przeciwieństwie do filozofji modernistycznej i wogóle ewolucjonistycznej, w której pojęcie prawdy jest dynamiczne, — katolickie pojęcie prawdy jest statyczne. Prawda, jeśli tylko jest prawdą, musi mieć wartość stałą i niezmienną. Stałym jest prawdą, musi mieć wartość stałą i niezmienną. Stają się to jej znamię. Przeciwnie, prawda, pojmowana dynamicznie, musi być zawsze względna, ruchoma, płynna, nigdy zaś nie może się stać prawdą skończoną, la verité faite. Czyli, co wychodzi na jedno, jest zawsze nieprawdą i nigdy się prawda nie stanie. W samym pojęciu dynamizmu, w odniesieniu do świata transcendentalnego, kryje się spisek przeciw prawdzie, skoro pozbawienie jej charakteru stałości równa się zabiciu jej samej. Toteż „prawda“ dynamiczna tłucze się wiecznie między ate-

izmem i panteizmem, między materializmem i ultraidealizmem.

A prawda istotna stoi niewzruszenie pośrodku.

Z powodu absolutyzmu afirmacji katolickiej „trzeźwy“ pozytywizm oskarżał obrońców jej o ślepy fanatyzm. Nie rozumiał, że ten absolutyzm, w zasadzie, płynie bynajmniej nie ze źródeł podmiotowych, lubo przypadkiem może być pochodzącymi z nich pierwiastkami zabarwiony, czy zanieczyszczony, — lecz ze źródeł przedmiotowych; że więc pozorny fanatyzm katolicki jest właściwie rozumem katolickim, świadomym swej bezwzględnej przewagi nad rozumami przeciwkatolickimi.

Lecz oto przyszedł modernizm ze swemi walorami irracjonalnymi i uderzył w walory racjonalne katolicyzmu, oskarżając go o racjonalizm, a temsamem, wbrew pozytywizmowi, przyznając mu te walory, i to z nadwyżką przesady. Racjonalizm bowiem uchyla wiarę nadnaturalną, jako podmiotowy akt umysłu, i zastępuje ją rozumem. Rozum zaś racjonalistyczny, zostawszy z autonomiacji wyłącznym a nieprzyjaznym sędzią przedmiotu wiary, burzy go do gruntu. Na to właśnie ta malwersacja poznawcza została obliczona. Lecz rozum katolicki, przedmiotowi wiary przyjazny, zgodnie z jego naturą, potrzeby udziału wiary podmiotowej bynajmniej nie zaprzecza, a przeto katolicyzm nie jest racjonalistyczny. Natomiast, ponieważ wiara jego gruntuje się na rozumie, jest on głęboko racjonalny.

Przeciwnie, racjonalistyczny, a nie racjonalny, jest sam modernizm. Jest racjonalistyczny, gdyż jego rozum z despotyzmem autokraty rządzi się w świecie wiary i odsądza go od rozumu; nie jest racjonalny, bo dla wiary stwarza i przyjmuje, zamiast rozumu, irracjonalną „imanencję życiową“, czysto subiektywistyczny czynnik uczuciowy, jakoby wierze jedynie właściwy. Modernizm, taksamo jak protestantyzm, liberalizm, pozytywizm i tym podobne izmy, wywodzące swój ród z kantejskiego agnostycyzmu, lub znajdujące w nim ex post swoje uzasadnienie filozoficzne, — poniża rozum faktycznie, aby go wywyżżyć pozornie, choć zdaje mu się, że jest odwrotnie. Nie dziw, że, razem z jego towarzyszami niedoli, bije go rozum katolicki, który się sam jeden poniżyć nie daje, obstając twardo przy jego udolności do bezwzględnie pewnego poznania „rzeczy samej w sobie“, utajonego pod osłoną zjawisk Rozumu.

W rezultacie, cała różnica między trzeźwym pozornie, bo materialistycznie, pozytywizmem, a nietrzeźwym jawnie modernizmem w stosunku do katolicyzmu polega na tem, że go tamten, jakoby irracjonalny, odrzucał, ten zaś, obciążony dziełnictwem tamtego, chciał go ocalić kosztem odebrania mu rozumu. Katolicyzm miał trwać jako rzeczywiście irracjonalny. Pozbawiony broni rozumowej, miał, owszem, zdobyć poróżniony z nim świat, króryby już z jego strony nie potrzebował się lękać żadnej opozycji przeciw swoim ateistycznym dążnościom

w nauce, literaturze, sztuce i w życiu publicznym, przedewszystkiem w polityce. Nad przepaścią przeciwieństw między katolicyzmem a światem miał stanąć wiszący most porozumienia, polegającego na pakcie o wzajemnej nieagresji.

Fikcja! Spekulatywne poniżanie rozumu pozostawia go w praktyce takim, jak on jest z natury. Sam akt takiej spekulacji dokonywa się całą pełnią siły rozumowej. W niej samej jest zaprzeczenie samej siebie. Metafizyka nie może być zwalczana inaczej, jeno dowodzeniem metafizycznym. Absolutyzmowi afirmacji katolickiej przeciwstawia się absolutyzm negacji.

Przeto modernizm nie poprzestał na zirrationalizowaniu podstaw katolicyzmu, lecz sięgnął do samego wnętrza jego dogmatów, by je zracjonalizować, t. j. odebrać im ich znaczenie. Tak Loisy — nawet osobowość Boga nazwał „la dernière idole“ — „ostatnim bałwanem“, przeciw któremu jakoby protestuje nasz umysł. Jaką mocą tego dokonał? Mocą uznanego za nieudolny rozum! Agnostycyzm zaczyna od twierdzenia niepoznawalności Boga, kończy zaś na twierdzeniu poznawalności, że Boga niema. Zamiast biblijnego, a filozoficznego: „Rzekł głupi w sercu swoim: niemasz Boga“ — stawia swoje: rzekł głupi: jest Bóg!

Mamy więc do czynienia z podstępem, wszystko jedno: świadomym czy nieświadomym. Poniża się rozum specjalnie dla walki z rozumem katolickim, z jego absolutyzmem. Swoją drogą, nie uchodzi to bezkarnie poniżycielom rozumu. Rozum ich własny, rzeczywiście, ulega obniżeniu, i to nietylko w swojej treści, lecz nieraz nawet i w swojej sile poznawczej. Niepoznawalny jest dla nich sam Bóg, do którego uznania doszli mędrcy starożytni. Jest On dla nich Istotą nie tylko nienaukową, On, Pan umiejętności, jak Go zowie Pismo, ale i klerykalną, bo Go wyznaje i apostołuje kler. Z nienawiści do katolicyzmu odrzucają wiele innych prawd naturalnych, jako że są napiętnowane klerykalizmem. To wystarcza, by je uznać za nienaukowe i odrzucić.

Nienaukowe? „Gdy kto powie—podejmuje zarzut Tillman Pesch—że dany wniosek metafizyczny jest nienaukowy, dobrzel! W takim razie jest on nadnaukowy, a w każdym razie rozumny“. Na wiatr! albowiem po tamtej stronie stracono wiarę w rozum, wślad zatem i sam rozum. Odnajduje się on dopiero u bolszewików, by z satanicznym wyrafinowaniem, z godną podziwu konsekwencją i niezrównanym tupetem, jakgdyby przeczenie miało za sobą pewność matematyczną, wywracać prawdę do góry nogami.

Tylko skażenie natury ludzkiej sprawia, że do absolutnego uznania prawd moralnych potrzeba udziału dobrej woli. Ten wszakże postulat jest źródłem blasku etycznego, który otacza prawdy moralne i — metafizyczny rodzaj ich pewności wynosi

ponad martwą pewność matematyczną. Do tego w następstwie przybywa czyn, który je poświadcza i blask ich potęguje.

Modernizm wszak z doświadczenia moralnego wiary uczynił jedyny jej dowód, na niem oparł apologetykę. Błędem jego tutaj jest tylko wyłączenie. Gdyby o prawdzie decydowało doświadczenie, to na decyzję ostateczną trzeba byłoby czekać do końca świata, gdyż ono wtedy dopiero dojrzeje. Uzależniona odeń prawda nie mogłaby też nigdy rozwinąć w pełni ukrytych w niej sił dobroczynnych. Niepewność jej w duszy jej eksperymentatorów hamowałaby ich energję. Modernizm przeto, nie uznając praw rozumu w dziedzinie wiary, podcina w korzeniu własny swój dowód najwyższy i, gdyby był w Kościele zwyciężył, doprowadziłby w nim do upadku świętość, na którą kładł nacisk tak wyłączny. Sami jego wyznawcy, zasugerjonowani własną nauką, poszybowali zrazu wysoko na skrzydłach ascezy, lecz niebawem spadli na niziny pospolitości. Zresztą, po zrationalizowaniu dogmatu, nie było dla czego się poświęcać.

„Przystępującemu do Boga trzeba (naprzód) wierzyć, iż jest” — filozoficznie powiedział już św. Paweł. Wierzyć na jakiej zasadzie? Tłumaczył to on również, obwiniając Rzymian, iż, z tego, co widzialne, nie poznali tego, co niewidzialne, t. j. prawdziwego Boga z podpadających pod zmysły dzieł Jego, w których się On odbija, jak w zwierciadle.

Niemniej modernizm podkreślił, uznawany zawsze przez Kościół, dowód moralny. Ten sprawdzian podał mu Chrystus: „z owoców ich poznacie je”. Moralność niezależna, to zn. niezależna od Boga, lecz zato zależna od ateizmu, to niemoralność. Ateizm to oset, z którego nikt jeszcze fig nie bierał. Natomiast katolicyzm rodzi świętych, bohaterów doskonałości moralnej i jedynych nadludzi, co się wzniesli ponad ułomności natury ludzkiej, ponad samą naturę ludzką. Nadprzyrodzona prawda, nadprzyrodzeni ludzie. „Czynią prawdę” i „przychodzą do światłości”. Owszem, stają się sami „światłością świata” na wzór samego Chrystusa, który i uczniów swoich i Siebie tak nazwał.

Lecz nie można nawet chcieć czynić prawdy, którejby się wprzódy nie poznało rozumem i nie przyjęło sercem. Czyni się prawdę, czyli doświadcza się jej czynem, nie jak chemik, który poznaje własności związków chemicznych dopiero w wyniku doświadczeń; lecz jak ten, kto wie zgóry, że doświadczenie wyda poznanie doskonalsze i stopień oczywistości jego podnieść może do wyżyn mistycznego jasnowiedzenia.

Przeciwnie, czynienie nieprawdy jest źródłem ciemności umysłowych. „Každy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego” — demaskuje Chrystus złą wolę, jako psychologiczną sprężynę bojującego ateizmu i antychryztyzmu.

Z zetknięcia się absolutyzmu negacji z absolutyzmem afirmacji wypadają gromy ukazów prześladowczych, które okrywają afirmację purpurą męczeństwa, wykazując całą potęgę pewności — nie siebie, lecz swego — w jej wyznawcach. Tego żaden pewnik matematyczny sprawić nie zdoła, co zresztą dla niego jest obojętne.

— Przysięgnij, że niema Boga! — wrzasnął komunard paryski w r. 1871 do braciśzka zakonnego, przykładając mu do czoła rewolwer.

— Przysięgam, że jest Bóg!

— Kanalia! Gotów umrzeć za swoje przesądyl — mruknął zbity z tonu napastnik, opuszczając piorunujące narzędzie śmierci.

Oto pewność swego katolicka, lubo nawet nie zbrojna w Sumę św. Tomasza. Pod imponującym jej działaniem uosobiona w komunardzie negacja skapitulowała, a może nawet ocknął się w niej „przesąd”. W każdym razie kiepski z niej duszoznawca: za przesady nie umiera się dobrowolnie.

Ale powiadają, że i lewica ludzkości ma swoją martyrologję. Podobieństwo pozorne, a w istocie przepaść różnicy. Z tej strony — święci, z tamtej — zbrodniarze „ideowi”, rozplodowcy zbrodniarzy pospolitych.

Tamci są prześladowani, ci — ścigani. Co innego jest akcja siepacza Dzierżyńskiego, a co innego, gdy do więzień z wygodami, gdzie, jak świadczy czelawiekolubna, (t. j. bolszewikolubna) odezwa p. Rygier Nałkowskiej, braknie tylko poduszek z pierza, wtrąca komunistów marszałek Piłsudski. Różnicę tę, tylko że przewartościowaną nawywrót, uznają sami bolszewicy, gdy apoteozują Judaszów i deifikują Leninów. Jeżeli jednak i oni posiadają swoją martyrologję, to pierwszym męczennikiem jest szatan. Jako takiego, w rzeczy samej, sławi go masonerja, choć jeszcze nie ogłasza tego urbi et orbi.

Przejdźmy do zagadnienia katastrof.

Autor nie wątpi o celowości katastrof, spadających na gorszą część ludzkości. Trudność dla niego stanowią tylko te, które spadają na część lepszą. To zdaje się ograniczać nasze zadanie. Ale tu zaraz powstaje pytanie, jak jedną od drugiej odróżnić, gdzie sprawdzian? Nie może on być wyłącznie katolicki, choćby pojęty nie według litery, która zabija, a według ducha, który ożywia, — skoro Autor jest, lubo relatywnym, relatywistą. Otwiera się więc pole dla pojęć, katolickim przeciwnych, które należałoby tolerować. Np.:

Z powodu katastrofy kalabro-sycylijskiej, której ogniskiem była Messyna (koniec r. 1908), Konopnicka ogłosiła odezwę do Narodu o składki na „tak strasznie, a tak niewinnie pokrzywdzonych Włochów”. Pokrzywdzonych przez kogo?

Przez Etnę, czy przez Pana Boga? Jeżeli przez Etnę, to mamy pospolitą laikalną bezmyślność; jeżeli przez Boga, to mamy bluźnierstwo, godne stanąć w rzędzie „Zbrodni, popełnionych przez Boga” Aug. Richtera, skazanego za tę książkę na wygnanie z kantonu Lucerny (r. 1909); i obok Papiniego „Pamiętników Pana Boga”, gdzie Bóg „przyznaje się”, iż stworzył nasz świat umyślnie po to, aby wypróbować postaci i skutki cierpienia. Zaznaczyć należy, że Bóg jest tam pojęty panteistycznie.

Jeszcze piękniejszy kwiatek mądrości liberalnej wyrósł z tejże okazji na grządce „Kurjera Warsz.": „Za jakie winy ukarano tę krainę słońca, ojczyznę sztuki i poezji, próżno byłoby pytać i próżno dociekać”.

„Ukarano!” Co za kunsztowny wybieg dyplomatyczny, by popełnić bluźnierstwo, a jednocześnie uniknąć zań odpowiedzialności! Bo poczucie wogóle potrzeby kary za winy tu jest, tylko niewiadomo niby, za jakie winy w danym razie nastąpiła kara. Wypadałoby, że Bóg popełnił okrucieństwo dla okrucieństwa, a tego wprost powiedzieć się „bano”. Czemże bowiem mogła zawinąć kraina słońca, ojczyzna sztuki i poezji? Oczywiście, niczem. Dlatego też próżno winy jej dochodzić. Najcięższe z win, winy religijne? Ech, brutalny fanatyzm, którym najlepsza część ludzkości się brzydził\*)

A jednak, nawet liberalna prasa włoska pisała o pewnej „impressionante coincidenza”.

Socjal-masońskie humoryściłdo „Il Telefono” w num. gwiazdkowym pomieściło bluźnierczą parodię nowenny do Dzieciątka Jezus, napisaną przez tow. Migneco. W szóstej strofie tej nowenny autor wzywa „bambinello mio, vero uomo, vero dio”

\* Większą liczbę podobnych kwiatków mądrości laikalnej, zebranych na niwie prasy polskiej, podałem i omówiłem w broszurze „Bóg przed sądem świata wobec gruzów Messyny” (1909). Dotknięta przez nią głównie prasa liberalna, oczywiście, przemilczała ją dostojnie. Z wyjątkiem ówczesnego „Dnia”, który, dotknięty również, spróbował ją ośmieszyć; dostawszy zaś chłostę w kilku (drogą przedruków) dziennikach i tygodnikach, tłumaczył się naiwnie, iż pod pseudonimem Philanthroposa nie domyślił się autora broszury. Co do prasy ateistycznej, to broszurę zaatakował w „Myśli Niepodległej” dr. Rom. Dybowski. Skarżył się on z irytacją, że zwiódł go pseudonim pospołu z winietą okładkową, przedstawiającą Oko Opatrzności, patrzące groźnie z pod chmury, jak z pod brwi nawisłej, na glob ziemski, opasany wieńcem cierniowym. Jako zaś egzotyczny podróżnik, zemścił się na autorze, darząc go mianem botokudosa. Sądzę jednak, iż botokudyzm jest całkowicie po stronie ateuszów, którzy, zamiast w Boga, wierzą w unaukowane fetysze i molochy, którym w ofierze składają żywoży ludzkie, jak to na wielką skalę praktykują dziś bolszewicy. Z pośród organów prasy katolickiej, które o broszurze tej pisały, nie podobała się ona tylko „Gazecie Kościelnej”, redagowanej po dzień dzień przez X. Dr. Pechnika. Już wówczas zaznaczyła się pomiędzy nimi sama różniczka w poglądach, którą stwierdzam w tej tu rozprawie.

(przez małe literki!), aby „mer amor della sua croce” wysłuchało „la nostra voce” i, skoro nie jest „ignoto”, zesłało „a tutti un terremoto”.

W dwa dni potem, prowokowana katastrofa, która z ust prasy włoskiej wyrwała okrzyk zgrozy: „Nel nome d'Italia!” — spadła, jak piorun.

Co więcej. W drugie święto Bożego Narodzenia, staraniem związku im. Giordana Bruna, w Messynie odbył się wiec, na którym zapadła uchwała doszczętnego zniszczenia religii w tej wolno-mularskiej Sodom-Gomorze. Ten, który „patrzy na ziemię i czyni, że drży, który tyka gór i kurzą się”, odpowiedział na to zniszczeniem miasta, oszczędzając mu ostatecznej hańby i klęski wykonania owej uchwały.

Wśród katastrofy messyńskiej zdarzyły się wypadki, które Ernest Hello, prorok pogromu Drugiego Cesarstwa, określiłby jako ironie Boże.

Ocalała stuletnia przeszło staruszka.

Ocalał autor bluźnierczej nowenny, lecz stracił całą swoją rodzinę, a sam zwarjował.

Ocalała gromada więzionych złoczyńców, którym ponadto katastrofa przywróciła wolność, a którzy ją wyzyskali ku szalkaczemu rabowaniu ofiar. To był wszakże tylko jeden z czynników katastrofy żywiołowej. Wyzwała go również każda rewolucja ateistyczna, jako własny swój wytwór. Więc Bóg dał jej obraz ostrzegawczy.

Wreszcie, na 125 kościołów messyńskich ocalał jeden jedyny, i to najstarszy, zamknięty i opuszczony, gdyż groził ruiną.

X. Caudo, redaktor messyńskiej „Scintilla”, pod świeżem wrażeniem katastrofy, uczynił ceną i wciąż aktualną uwagę, że karygodna bierność katolików, wobec wyuzdania Messyny, skuteczniej ściągnęła gniew Boży, aniżeli sama nawet bezbożność niedowiarków. Bierność katolików przechodziła wprawdzie w stan czynny, lecz na korzyść bezbożników. Dzięki czynnemu przez nich poparciu, „Il Telefono” rozchodził się 25.000 egzemplarzy!

Wobec tego, czy trudno było przewidywać, że Ręka Pańska zacięty nad miastem? Toteż przewidywano i ostrzegano z kazalnicy. Ale jonasze messyńscy nie mieli posłuchu w Messynie. Posłuch miał sprośny „Il Telefono”!

Katastrofa spełnić się musiała niezależnie od moralnego stanu ludności, którą ona dotknęła? Determinizm praw przyrody?

Prawda przedpotopowa! Mimo niskiego wówczas poziomu nauk przyrodniczych, znali ją doskonale Ojcowie Kościoła, gdyż ona rzuca się w oczy. Godzili ją przecież niemniej doskonale z celowością etyczną katastrof, jako środków karnych, zarówno jak z celowością, więc rozumnością, modlitwy o ich od-

wrócenie. Myśl też Ojców powtórzył tylko genialny matematyk 18 wieku, Leonard Euler, kiedy rozumowcom, co się uwzięli rozumem zwalczać Rozum, tłumaczył, że nie trzeba sobie naiwnie wyobrażać, jakoby modlitwa, czy też grzech, wołający o pomstę do Boga, dochodziły do Jego wiadomości dopiero w chwili ich aktu. Usłyszał On te głosy już przed wiekami i tak do nich zgóry nastroił przyrodę, by z naturalnego biegu wypadków wynikało ich wysłuchanie: miłościwe, czy karne.

Z tego widać, że koincydencja wolnego czynu ludzkiego, jakim jest grzech, z deterministycznym zjawiskiem natury, jak katastrofa, nie jest ślepym przypadkiem. Celowością swoją uderza ona nawet niedowiarków, tchórzących jednak przed uświadomieniem jej sobie i poprzestających na mglistym stwierdzeniu impresji: „impressionante coincidenza”. W tym świetle tłumaczy się też możliwość zawieszenia karnych wyroków Boskich bez cudu, czego przykładem klasycznym pokutująca pod groźbą Jonaszową Niniwa. „Umie Bóg—mówi Augustyn—odmienić swój wyrok, jeśli i ty się odmienisz”. Mądrę również okazuje się, ośmieszona przez nierozumnych rozumowców, potężne—w modlitwie kościelnej na poświęcenie pól—zakłęcie niszczących zjawisk meteorologicznych w imię potęgi Krzyża i Boga żywego, aby dotykały raczej pustynie i morza, a nie chlebne pola. Przestrzenie pustynne zaludniają się? No, ale jednocześnie wzrastają pustynie moralne. Nie troszczmy się o to, gdzieby się podziały huragany, grady, ulewy, posuchy, tak obfite w latach powojennego zepsucia.

A niewinne ofiary katastrof, ta istotnie najlepsza część ludzkości? Pytanie na pytanie: a Chrystus na krzyżu? Ekspiacja! Messyna zrozumiała to, stawiając kościół ekspiacyjny. Bóg gotów był przepuścić Sodomie dla dziesięciu sprawiedliwych. Niniwie przepuścił nie tylko dla jej pokuty, ale i przez wzgląd na 120 tys. jej dzieci. Lecz coby z dzieci wyrosło bez pokuty dorosłych? Lepiej dla nich, gdy, zanimby się zepsuły, Bóg „pokwapił się wywieść je z pośrodku nieprawości”.

„Przez drzwi otwarte (kaplicy nadmorskiej w Messynie)—opowiada powieściowy świadek katastrofy, X. Faust Miciński—ujrzałem X. Łackiego, odprawiającego mszę... Wtem ktoś zapytał:

— Dlaczego Bóg zburzył Messynę?

I oczy wszystkich zwróciły się na księdza.

— Bóg rządzi mądrze duszami ludzkimi—odrzekł.—Messynę zburzyła Etna dlatego, że w niebie przygotowano duszom piękne mieszkania. Tam nie trzeba marznąć i niebo nie zwali się na głowy!

Ludzie uśmiechnęli się szczęśliwi. Oto prawdziwy ksiądz! Mówi, jak do dzieci, i sam jest dzieckiem”.

Dzieckiem ewangelicznym; co prawda, trochę za wielkiem.

To, co Miciński powiedział przez X. Łackiego, jest słuszne tylko w odniesieniu do ofiar niewinnych. Autor „X. Fausta”, mistyk, który w teozofizującej „Nietocie” nazwał Kościół skandalicznie „Camorą pohańbionych cudów”, a później wystąpił w gorącej i mądrej obronie historyczności Chrystusa przeciw astralistom i modernistom, obok zapędów hyperkrytycznych miewał chwile naiwności dziecięcej, pozbawionej poczucia rzeczywistości, więc nie pokrywającej się z dziecięctwem ewangelicznym. „Bądźcie dziećmi złością—rzekł Paweł—ale rozumem doskonałymi bądźcie”. Zresztą w onejże „Nietocie” Miciński wypowiedział zdanie polono-historjozoficzne, które da się rozszerzyć na katastrofy żywiołowe: „Sybir jest dla nas największym z uniwersytetów, jakim jest Bolesć”.

Na kilka lat przed katastrofą messyńską zdarzyła się podobna „impressionante coincidenza”, zatuszowana przez prasę bezreligijną, jak wszystkie inne tego rodzaju, aby bezbożnicy wszelkiej maści nie zadrżeli „przesadną” bojaźnią.

W roku 1902, w mieście St. Pierre na Martynice, masonerja urządziła w W. Piątek procesję z ukrzyżowaną... świnia, a w dzień Wielkiej nocy—procesję ze świnia, niby zmartwychwstałą!

Pomysł, godny zezwierzęconych i zarazem rozdjablonych plugawców ostatniego rzędu. Pozostawia on daleko za sobą nawet bolszewickie procesje z kukłami bożyszcz, które są same przez się parodią Bóstwa, i z kukłami sparodjowanych bluźnierczo Najświętszych Postaci Nieba chrześcijańskiego. Martynika jest kolonią francuską. Niemasz wykwintu nad francuski, niemasz i świństwa nad francuskie. To zgnilizna Zachodu.

Jeżeli uczestnicy tych demonicznie świńskich procesyj nie zostali w gwałtownym odruchu świętego oburzenia zlinczowani przez tłum na miejscu potwornej idjotycznie zbrodni, a przynajmniej zapędzeni batami do lochów więziennych przez policję, to był to dowód dojrzałości miasta do kary katastrofalnej, bardziej niż Sodomia i Gomora. Jeżeli nie znalazł się chirurg, któryby wyciął tę czarną krostę, wyrzut krwi, zakażonej jadem antychrystycznym, tedy całe ciało społeczne miasta musiało zginać. Zginać w straszliwej katastrofie na postrach świata.

Niedarmo u stóp miasta usadowił się wulkan Mont Pélé. Dnia 8 maja tegoż roku, w święto Wniebowstąpienia, urządził on zbrodniczemu miastu wpiekłożstąpienie. Miasto, które tak straszliwie i tak ohydnie zbezczeszcilo prześwietłą Pamiątkę Śmierci i Zmartwychwstania Zbawiciela świata, które może gotowało podobną profanację Pamiątki Wniebowstąpienia, nie było godne obchodzić już najbliższej jego rocznicy, związanej przyczynowo w swej treści z treścią Pamiątek tamtych, tak sprofanowanych.

Nie co do jednego zginęła 40-tysięczna, przeniewiercza

ludność miasta Św. Piotra. Ocalał zamknięty w podziemiach murzyn. Znalaziono go — ledwo żywym z głodu.

Warto zaznaczyć, że miesięcznikowy Biuletyn Stow. św. Franciszka Salezego, wydawany w diecezji lionńskiej, w zeszycie majowym z r. 1909, podał następującą wersję z powodu katastrofy martynickiej:

„W Wielki Piątek, poprzedzający katastrofę, banda maso-  
nów z St. Pierre, ulepiwszy figurę, mającą przedstawiać Chrystusa, umieściła ją na stole biesiadnym, suto zastawionym mięsiwem, a następnie zaniósła ją na szczyt góry Mont Pélé i w głąb krateru rzuciła“.

Oto jeszcze „czarodziejska zbieżność“, jak z właściwą sobie ironją, skierowaną przeciw przesądnemu niedowiarstwu, powiedziałby Chesterton. Zbieżność z ostatnich również czasów, lecz na innym tle fizycznym.

Któż nie pamięta wstrząsającej katastrofy Tytanica, tego luksusowego olbrzyma transatlantyckiego, który zaraz w pierwszej podróży jego rozłupała na dwoje góra lodowa? Niewielu jednak ludzi na świecie, poza elitą katolicką, no i elitą masońską, niezależnie od jej stanowiska, wie o mistycznej przyczynie tej katastrofy. Chociaż to bowiem sensacja nad sensacje, milczała o tem światowa prasa liberalna i wolnomyślna, nie wyłączając tego jej odłamu, który na sensacji żeruje. Wymowne milczenie! Oto rewelacja prof. Stocleya „w Catholic Times“:

Przy budowie Tytanica pracowali, m. in., członkowie sekty oranżystów. Dumni ze swego dzieła, wypisali oni na bokach okrętu bluźniercze prowokacje: „Ani sam Chrystus nie zatopiłby tego okrętu!“ „Niemasz Boga, któryby zdołał pograżyć ten okręt w morskich odmętach!“ O fakcie tym świadczy zdjęcie fotograficzne z parowca, dokonane przed wyjściem jego na morze, oraz list jednego z podróżnych do przyjaciela, napisany na krótko przed katastrofą.

Nie dość na tem. Nowo-Orleański „Morning Star“ doniósł: Franck Mackee z Brooklynu, powróciwszy, z Irlandji, oznajmił jednemu z dziennikarzy, że budowniczy Tytanica był ateuszem, dobrze tam znanym, i że na spodniej części statku, poniżej linii zanurzenia, wyrył swoją dewizę: „Ni Boga, ni Pana!“ Napis ten się ukazał, gdy okręt się przechylił, idąc na dno... wraz ze swoim budowniczym. Nadmienimy, że Tytanik był wyposażony w ubezpieczenia techniczne, będące ostatnim wyrazem nauki.

Jaktol Dla ukarania jednego zbrodniarza, niepospolitego coprawda, Bóg na straszną śmierć skazał 1.700 ludzi, przeważnie wyższej kultury i rasy?

Przypomnijmy sobie wszakże Jonasza, uciekającego morzem od posłannictwa Bożego. Zapytujemy nadto ilu ten olbrzym morski wiózł ateuszów i rekinów giełdowych. Byli tam

i uczestnicy bankietu, wydanego w jednej z wielkich sal statku przed jego wyruszeniem w podróż pierwszą i ostatnią: bankietu, na którym z pychą ateistyczną podnoszono bezwzględność bezpieczeństwa tytana morskiego wobec żywiołów, oczywiście „ślepych“.

Prócz najlepszej cząstki ludzkości z punktu salonowo-liberalnego, Tytanikiem jechali niewątpliwie także ludzie wierzący i uczciwi. Ponad osobistą ich dolą doczesną musiała jednak górować potrzeba dania światu twardej lekcji, że Bóg był i jest i że On, jak mówi Pismo, nie da się z Siebie naśmiewać. Zwłaszcza gdy ludzkie prawodawstwa świeckie nie poczytują ateizmu za zbrodnię nad zbrodniami i za nią nie karzą, choćby zamknięciem w zakładzie psychiatrycznym, jak to przewiduje X. Benson w „Brzasku Wszelch rzeczy“.

Lecz w tym akcie kary Bóg nie zapomniał o losie wiekuistym także i winowajców. Na Tytaniku znajdowało się trzech księży. Nie chcieli oni skorzystać z łodzi ratunkowych, by, dzieląc tragiczny los skazańców, jednać ich z Bogiem i przez to uzdolnić do wzniesienia się na szczyty bohaterstwa w podjęciu okropnej w swoim rodzaju śmierci. Kajali się i ateusze.

Tragicznie wspaniałe było zjawisko, gdy na bezmiarach oceanu, wśród nocy pograżał się w bezdnie urągający Bogu tytan ze śpiewem hymnu: „Blżej do Ciebie, Boże!“ Wprawdzie awyznaniowość, goła teistyczność tej pieśni nie przypada do smaku uczuciu katolickiemu; lecz nie czas było wtedy na uświadamianie katolickie, a Bóg przyjął i pieśń taką, na jaką stać było ginących. W ich ustach nabrzmiała ona uczuciem religijnym, z pewnością szczerem i podniesionem do najwyższej potęgi.

Oto obraz dobra moralnego, które kwiatem kaktusowym wystrzela ze zła fizycznego, osiagającego w katastrofach swój punkt szczytowy.

Udaremnianie tego dobra przez zuchwale niedowiarstwo sprzeciwia się zamiarom Opatrzności i czyni ciężką krzywdę światu. Bezbożni człekolubcy pracują w ten sposób na spełnienie się słów Augustynowej „Civitas Dei“: „Stracili pożytek nie-szczęścia i najnie-szczęśliwsi się stali“ — „Perdiderunt utilitatem calamitatis et miserrimi facti sunt“. Tę szatańską robotę wykonano i w stosunku do katastrofy Tytanika.

Wieziono na nim z Londynu, przechowywaną w British Museum, mumję zmarłej przed 5.000 lat arcykapłanki stubramnej świątyni w Tebach zw. Amen-Ra. Deportowano ją, gdyż jakoby była przyczyną śmierci wielu osób, które miały nie-szczęście zetknąć się zbyt poufale z jej dostojnością. Otóż łatwowieerne niedowiarstwo przypisało tej mumji katastrofę Tytanika!

Raczej okultystyczna niedorzeczność, skoro już opinji nie

wystarcza tłumaczenie naturalistyczne i trzeba bodaj oszukać jej głód mistyczny,—byle nie Opatrzność Wiara w Opatrzność i przypisywanie tejże interwencji dziejowej—to wszak woda na młyn klerykalizmu, do czego niepodobna dopuścić. Tak myśli się w głębi duszy. A nazewnątrz wypuszcza się zatrutą strzałę zarzutu: klerykalizm dostarcza ateizmowi materiału do strasznego bluźnierstwa, że Bóg jest „Inkwizytorem nad inkwizytora-mi”, skoro przypisuje Mu tępiące najlepszą część ludzkości katastrofy. Na takie bluźnierstwo zdobyć się może tylko inkwizytorska, torquemadyczna wyobraźnia klerykalna, wyobrażająca sobie Boga na obraz i podobieństwo własne.

Zdaje się jednak, że to raczej demokracja chce nam narzucić pojęcie o Bogu na wzór własny. Pod płaszczykiem świętoszkostwa zdejmuję z Niego odpowiedzialność, by sobie był malowanym królem na niebie, który króluje, ale nie rządzi, a świat mógł rządzić sam sobą bez oglądania się na Boga, „Italja fara da se”. „Ameryka dla amerykańców”. Świat dla świata. Co się wyklada: świat dla masonerji. Wiadomo wszak, co to są rządy bez Boga.

Tłum ludzki staje się jednym więcej, ślepyim żywiołem, tem niebezpieczniejszym od innych, że jest w ręku potęg ateistycznych, infernalnych. Przybywa nowe, najstrasliwsze źródło katastrof: of żywiolowych, by prowokować Boga do karnego rozpetania żywiolów martwych. Niedarmo Chrystus zapowiedział na czasy Antychrysta orgję katastrof. Będzie to przewidziana przed wiekami „impressionante coincidenza” kończącej żywot swój Ziemi oraz kończącej żywot swój ludzkości.

Nie mylcie się! Bóg nie jest malowanym królem konstytucyjnym, z konstytucją, podyktowaną Mu przez człowieka, który chce zająć Jego miejsce. Boga stać na pełnię władzy absolutnej nad światem, oraz na idącą z tem w parze pełnię odpowiedzialności — rzecz prosta przed Samym Sobą tylko. „Summa Sedes” na Niebie „a nemine judicatur”. Człowiek ma tylko święty obowiązek kornie odczytywać, tak dzieło Jego przyrodzone, pisane gwiazdami, jak i dzieło Jego historyczne, pisane widomemi znakami Jego interwencji, wśród których cuda i katastrofy przemawiają najwymowniej.

Nie mylcie się! Nad ślepeimi żywiołami panuje Rozum. Ślepotą jest przypuszczać możliwość ślepego przypadku; przypadku, o którymby Bóg nie wiedział, którego by nie dopuścił, świadomie i celowo przed wiekami nie nastawił.

„Es gibt kein Zufall,—mówi Szyller—und was blindes Ungefaer nur duenkt, gerade das steigt aus den tiefsten Quellen”. „Niemasz żadnego przypadku i, co się tylko ślepyim wydaje przypadkiem, to właśnie z najgłębszych źródeł wytryska”.

W drugiej połowie 18 wieku, kiedy we Francji encyklopedyści dokonywali rewolucji intelektualnej przeciw Myśli kato-

lickiej, zdarzyła się katastrofa, jedna z najrzadszych. Stateczkiem rybackim przez Atlantyckie morze uciekało trzech galerników. Towarzyszył im rybak, właściciel łodzi. Nieopodal Azorów, na tę łódź hiszpańską spadł aerolit i ją zatopił. Ocalał się tylko sam rybak, jako „nuntius cladis”.

Ta osobliwie „impressionante coincidenza” poruszyła najpierwsze wówczas umysły europejskie. Pisał o niej i Wolter. W grze było zagadnienie Opatrzności, negowanej przez ówczesnych racjonalistów. Trudno o wyraźniejszy „Fingerzeig Gottes”. Na bezmiarach oceanu łupina, w niej cztery robaki ludzkie, z których trzy przestępcze. I oto z nieba spada kamień, jeden z kilkudziesięciu, spadających na kulę ziemską dorocznie i trafia w przestępczych zbiegów, jak wycelowany.

„Bóg rachuje”—rzekł Pytagoras. Przecież rozumowcy trzymali się mocno i przekonać się nie dali. Ślepy przypadek! Naturalnie, skoro i sama epopeja kosmiczna powstała przypadkiem. To jednak już nie przypadek, że pojętni wychowankowie rozumowców 18 wieku ubóstwili rozum w postaci nierządniczy Maillard, posadzonej na ołtarzu w Notre Dame de Paris.

Mikroskopijny precedens tych gradów aerolitów, tego bombardowania przez Niebo zbuntowanej przeciw Niebu Ziemi, które zapowiedział na czasy ostateczne Chrystus. Celowość, przed wiekami przewidziana i w czasie przepowiedziana...

Zdarzenie z aerolitem, lubo w dość niejasnej redakcji, przypominał p. efz. w „Polaku-Katoliku” z powodu tegorocznego, monstrualnego wylewu Missisipi, w artykule p. n. „Bóg przemawia”. W tym wypadku braknie nam danych do sądu, za jakie winy Bóg tak nawiedził Stany Zjednoczone. To pewna, że win tam nie braknie. Choćby, biorąc ogólnie, bezwyznaniowość i wielkopaskarstwo Wuja Sama. Siedzi oto sobie w ugwieżdżonym cylindrze na górze złota i niewzruszony jej stękami, woła do zbiedzonej Europy: „Oddaj, coś winna!” Bez względu na to, że dłużniczka zadłużyła się u niego na sprawę idealną znaczenia światowego.

Niebywała powódź w państwie gwiazd masonskich przypomina niebywały wylew Sekwany i innych rzek Francji w styczniu 1910 roku. Szczególnie wielką klęskę poniósł wtedy Paryż: tak wielką, że w przerażeniu cofano się przed porównaniem jej z klęskami wojennymi, poniesionymi przez Francję do owej pory. „Milliard des Congregations!” zawołał Georges Goyau, członek Akademji Francuskiej, wiążąc tę klęskę ze świętokradzkim rabunkiem, dokonanyim przez masonski rząd Francji na kongregacjach zakonnych, kościołach i nieboszczykach (zapisodawcach).

I znowu uderzający zbieg dat i faktów!

We środe, dnia 19 stycznia, jeden z deputowanych, przemawiając w Izbie za wnioskami Sekty przeciw Bogu w szkole

i wogóle przeciw Kościołowi, pozwolił sobie na cyniczną prowokację:

— Jeżeli Bóg wasz jest wszechmocny, niechże nareszcie nam to jawnie okaże!

Bóg dał odpowiedź nazajutrz. Rozpoczął się w styczniu!— pamiętny wylew Sekwany, który przez dziesięć dni trzymał stolicę bezbożności świata pod groźbą potopu.

— Pyszny zwycięsco! — wołał kanonik Gougeon w „Val Marie”. — Kropla wody, której nie umiałeś zatamować, pokonała cię!

Kiedy jednak dumna aż do wyzywania Boga na rękę, wzorem bajecznych tytanów, nauka okazała się bezsilną wobec „kropli wody“, zrywającej wały ochronne i druzgocącej na drodze swej wszystko, cokolwiek napotkała, wtedy znowu moc swoją okazała Modlitwa.

W piątek, nie bacząc na grozę położenia, tłum wiernych udał się do górującej nad miastem bazyliki N. Serca Jezusowego na Montmartre, by przebłagać to Serce. Tegoż dnia wieczorem nastąpiło przesilenie: gwałtowny przybór wstrzymał się nagle. Miasto było ocalone. Powódź zabrała tylko z lichwą miliard kongregacyj.

Swoją drogą, także i poszczególni rabusie dóbr kościelnych i znieważyciele zajmowanych gwałtem kościołów we Francji byli dotykani różnemi karami, ujawniającemi specyficzną nowość. Liczne ich przykłady zebrał V. Gourdel w sensacyjnej, mimo to jednak nieznannej w kołach bezwyznaniowych, książce p. t. „Mane, Thekel, Fares“, istniejącej także i w polskim, niestety, lichutkim, przekładzie. Moznaby na niej, jako motto, położyć słowa Psalmisty: „Pójdźcie sam synowie, a słuchajcie mnie: bojaźni Pańskiej was nauczę“.

Kiedy chodzi o katastrofy najświeższej daty, to warto zwrócić uwagę na tegoroczne trzęsienia ziemi w Jerozolimie i na Krymie, t. j. w stolicy „państwa“ żydowskiego, oraz w kraju, przeznaczonym przez bolszewików na Rzeczpospolitą żydowską i na którego uroczej rywierze komisarze żydowscy używają carskich rozkoszy. Wałą się wspaniałe pałace, mury ich lecą im na łby i wykurzają ich z zagrabionych siedzib rajskich. Pendant do powodzi leningradzkiej, którąśmy tu już omówili.

Nie mogę się tu powstrzymać, by nie przytoczyć jednej opowieści z „Notre Dame de Lourdes“, głośnego w dziejach tego cudownego uzdrowiska, dr. Boissarie.

Pewien ojciec, na płycie grobowej, kryjącej zwłoki umiłowanej jego córki, Marji, położył świętokradzki napis: „Marja optimam partem elegit, quae non auferetur ab ea“ — „Marja najlepszą część obrala, która od niej odjęta nie będzie“. W tę płytę uderza piorun i niszczy kilka liter, tak, iż wychodzi napis: „Marja imam partem elegit, vae non auferetur ab ea“ — „Marja najgorszą część obrala, biada od niej odjęta nie będzie“.

Ów ojciec, człowiek zapewne wierzący, lecz zbyt zadufany sam w sobie, niewątpliwie uważał sam siebie za jedną z najlepszych cząsteczek ludzkości, bo nawet był rzeczywiście cząsteczką jej katolicką. Katastrofa, która dotknęła go moralnie, ukarała jego pychę ojcowską. Był to jeden z tych, drobnych rozmiarami, faktów, o których, jak o wypadku z aerolitem, można powiedzieć: „maxima miranda in minimis“.

Większa, nie groźna, lecz dotkliwie przykra w swych skutkach fizycznych, katastrofa spotkała, niebываłą w dziejach ogromem i wspaniałością, procesję eucharystyczną w Mundelein, w roku przeszłym, na zakończenie Kongresu Eucharystycznego w Chicago.

Kiedy, wśród najpiękniejszej pogody, procesja rozwinęła się w pełni,—na rozświetlonym niebie ukazała się chmurka. Rosnąć gwałtownie i ciemniejąc, z szybkością samolotu znalazła się ponad bajecznie barwnym, wielojęzycznym i wielomelodyjnie rozspiewanym, potężnym pochodem. Uczyniło się czarno, zawył wicher huraganowy, zagrzmiały pioruny, puściła się ulewa z grubym gradem, taka, jaką się nazywa oberwaniem chmury. Wszystko razem na miarę amerykańską, gigantyczną, jak i sama procesja.

Wszystek blask uroczystości w mig został zgaszony. W przeciągu 15 minut trwania burzy, wszystek przepych kultury, roztopczony w pochodzie, przeistoczył się w brzydkość spustoszenia. Na świętą powagę obchodu, ze strony jego człowieczej, padły refleksy komizmu.

Szczegółowo, jak nikt inny w prasie polskiej, żywo, barwnie i humanistycznie opowiada o tem ks. prała: Kłos, jako świadek naoczny, w swoim wybornym „Przewodniku Katolickim“, w drukowanych tam od roku już prawie, swoich wspomnieniach i wrażeniach z kongresu chicagoskiego p. t. „Na drugiej półkuli“.

Jednak, poza drobnym odsetkiem małodusznych, którzy ulegli panice i opuścili szeregi czcicieli Chrystusa Eucharystycznego, których ogółem liczono na miljon, procesja wytrwała na stanowisku do końca. Nawet zrobiła dobrą minę wobec tak dotkliwej, lubo wspaniałej w samej sobie, gry Nieba. A to głównie dzięki przytomności umysłu ceremoniarza procesji, księdza, który przez głośniki radjowe posyłał w milionowy tłum drogie każdemu amerykańskiemu hasło: „Keep smiling! Keep smiling!“

Nie dość na tem.

Już po skończonej procesji, wspaniała i bogata monstrancja, ofiarowana dla niej umyślnie przez pewnego bogacza amerykańskiego, uległa zniszczeniu, kiedy ją odwożono do Chicago. Na samochód, w którym ją wieziono, najechał z tyłu samochód inny. Jadący w nim księża wypadli na asfaltowaną drogę, jak wyrzuceni z procy. Wypadła także i monstrancja



w futerale. Kiedy jednak księżom nic się złego nie stało, przez monstrancję przeszły koła samochodu i ją zgruchotały. Dzieło sztuki złotniczej i jubilerskiej zginęło; pozostał tylko zniekształcony materiał.

Jakże-to? Ziemia śpiewa Chrystusowi-Królowi hosannę, na jaką tylko zdobyć się mogła w wieku 20-ym i w Nowym Świecie,— na jaką nie zdobyła się do owej pory ni razu,—a Niebo odpowiada rozpętanem żywiołów atmosferycznych i jakby potępieniem? Do tego, dopuszcza jeszcze zniszczenie świętego i świętego naczynia eucharystycznego, zwanego przez Francuzów „słońcem“, przeznaczonego do tryumfalnych obnoszeń Bożego Ciała, niebieskiego dusz Chleba?

Nad tem drugim pytaniem zastanawiała się prasa amerykańska, wychodząc z założenia, którego tu bronimy, że nie masz ślepych przypadków, że więc i w tym wypadku, zwłaszcza że taki uderzający, musi być ukryta myśl Boża ku nauce ludzkiej. Wstrzymując się od własnego sądu w tej sprawie, ks. prał. Kłos podaje opinie rzeczonyj prasy. Są one charakterystyczne.

Czarnowidze widzieli w tym wypadku znak ostrzegawczy z Nieba, zapowiadający prześladowanie Kościoła w Stanach Zjedn., na wzór Meksyku. Nie przecząc możliwości wybuchu burzy prześladowczej, oczyszczającej atmosferę, w której żyje Kościół w Ameryce Północnej, nie widzimy jednak związku między tą wróżbą a tym wypadkiem. Nic w nim na nią nie wskazuje. Zachodzi tu, poprostu, pesymistyczne naciągnięcie jednego do drugiego.

Mundeleinowcy dopatryli się w zdarzeniu boskiej aprobaty dla świetności kongresu i jego procesyjnego finiszu. Nic podobnego już się nigdy na świecie nie zdarzy; monstrancja mogła służyć raz tylko jeden, jak raz jeden tylko mógł być taki kongres i taka procesja. „Vedere Napoli e poi mori!“ Tłomaczenie to wystawia Boga, jakoby magnata, kruszącegoz fantazją roztruhan, z którego wychylił upojny nektar. Uosobiona w mundeleinowcach Ameryka wychodzi w tej wykładni wspaniale. Szkoda tylko, że kosztem chwały Bożej...

Trzecie wreszcie tłumaczenie każe widzieć w wypadku potępienie blichtru i pompy amerykańskiej, szukającej, więcej niż chwały Bożej, chwały własnej. I ono jedno zdobywa od razu każde, wolne od jakichkolwiek uprzedzeń, przekonanie, ono narzuca się każdemu samodzielnie. Zwłaszcza gdy przygodę z monstrancją potraktujemy łącznie z ową burzą, jak ją, z natury rzeczy, traktować należy.

Ziemia winna jest Niebu daninę ze wszystkiego, co tylko ma najlepszego, ale ta danina musi Mu być składana w wolnej od próżności intencji, bez której traci wszelką wartość. Że nie chodziło o potępienie świętego i pięknego, samego w sobie,

dzieła, lecz tylko o ukaranie połączonej z niem próżności zbiorowego bogacza amerykańskiego, zadufanego w swoich dolarach, świadczy i krótkość burzy i wyjście wiozących monstrancję księży z wypadku samochodowego bez szwanku. Bóg „naśmiał się“ tylko z próżności ludzkiej w tych komicznych efektach, które przelotna burza wywołała. Co nie przeszkadza uznaniu w burzy doświadczenia siły wiary uczestników procesji. Ten boski egzamin wytrzymali oni zwycięsko. I za to chwala Imieniowi Twemu, Chryste, bo z Ciebie oni tę moc poczerpnęli!

Lecz oto jedna z tych wyjątkowych katastrof, które mają charakter polityczny, a które pozornie spadają na świat katolicki, więc niewątpliwie, lubo nie z masonskiego punktu widzenia, najlepszą część ludzkości. Katastrofa, mająca nie tylko doniosłe znaczenie polityczne, ale i charakter nieprzewidywanej trudności, udaremniającej najlepsze istotnie zamiary.

Zniszczona przez burzę Niezwyciężona Armada, którą mocarz katolicki, Filip II, wysłał był przeciw krwawej antypapistce Elżbiecie. Elżbieta z tego powodu wybiła medal pamiątkowy z tryumfalnym napisem: „Afflavit Deus et dissipati sunt“ — „Bóg dmuchnął i zostali rozproszeni“.

Wszystkie pozory świadczą, jakoby Opatrzność wystąpiła przeciw sprawie katolickiej i jakoby Elżbieta słusznie tryumfowała, że Bóg z nią trzyma. Więc jakże? Dopuścić z X. Dr. Pechnikiem możność wątpienia, że bez woli Bożej... włos z głowy człowieczej nie spadnie?

Chyba nie! Cobądź można rzec naniekorzyć Izaela biblijnego, był to naród wybrany przez Boga i, jako taki, stanowił swego czasu najlepszą część ludzkości: część, która wśród powszechnej topieli bałwochwalstwa ocaliła dla świata ideę prawdziwego Boga i która pod wpływem tej idei musiała, bądź co bądź, wyróżniać się korzystnie przynajmniej pod względem moralnym od wszystkich innych ludów, nie wyłączając klasycznych. Istotną przyczyn nienawiści do żydów biblijnych, a stąd i kampanji oszczerstw przeciw nim ze strony świata pogańskiego, była w zasadzie sama, co i nienawiści przeciwkatolickiej w erze chrześcijańskiej. Jest też rzeczą godną ubolewania i wysoce szkodliwą, gdy wicher antysemityzmu, usprawiedliwiony bezwzględnie w stosunku do żydostwa pobiblijnego, zapędza się w czasy biblijne, podnosząc bezkrytycznie dawne oskarżenia pogańskie, i gdy porywa nawet pióra, skądinąd katolickie, czasami nawet i kapłańskie. Ta robota zwraca się samochcąc przeciw katolicyzmowi, najmądrzejszemu i najpotężniejszemu przeciwnikowi duszy żydowskiej, znenawidzonemu też przez nią najżywiej, i prowadzi do walki z Kościołem, w co graj tylko żydostwu! Ostateczności się stykają...

Otóż, właśnie dla wybraństwa żydów spadały na nich nad-

zwyczajne klęski polityczne i katastrofy żywiołowe, jak chociażby trwająca półczwarta roku posucha za czasów króla Achaba. Tosamo prawo historjograficzne działa dziś w stosunku do Kościoła i do narodów katolickich, stanowiących nadnarod wybrany Nowego Zakonu, przeznaczony zresztą do rozszerzenia się na wszystkie narody. Wedle Ezechjela i Piotra, sąd Boży rozpoczyna się od Domu Bożego.

No tak! Lecz w katastrofie armady hiszpańskiej nie widzimy celu karnego, skoro ona sama była wyprawą karną przeciw gnębielce Kościoła?

Odparta w dążeniu do wyjaśnienia tej katastrofy przez hipotezę kary, myśl nasza zwraca się w innym kierunku. Widocznie nie sama tylko kara bywa celem katastrof, dotyczących najlepszą część ludzkości. Mogą one nawet mieć cel kulturalny, jak tego Buckle w „Historji Cywilizacji“ dowiódł na przykładzie Niderlandów, lubo z tendencją ateistyczną.

Kraj ten, najbardziej nizinny w Europie, cierpiał od zalewów morskich, które perjodycznie go zatapiały, przyczem tonęło za każdym razem po kilkadziesiąt, do stu tysięcy ludzi, nie mówiąc już o inwentarzu żywym. Dziś tytaniczne groble nie tylko zabezpieczają kraj od gwałtownych przypływów morskich, ale i wydarły morzu olbrzymie przestrzenie diun i bagnisk, przedstawiających się obecnie jako nieprzerwany ogród kwitnacy, sławne „polders“. Ale, czy to już bezwzględnie i na zawsze?!

Atoli charakter zdarzenia z armadą kieruje nas w inną jeszcze stronę. Widzimy w niem udaremnione zamiary; zamiary, jeśli nie najlepsze, bo z celem czysto religijnym Filip II łączył swoje cele polityczne, to w każdym razie dobre. Ta okoliczność orjentuje nas ku myśli, że widocznie w tym wypadku zamiary Boże były odmienne, choć także, oczywiście, miały one na oku sprawę Kościoła. Rzecz prosta, były one głębsze i dalej widzące od Filipowych. Dziś już możemy je w dalszym rozwoju wypadków, w ostatnich rozdziałach księgi dziejów, odczytać.

„Dopuszczcie obojgu—pszenicy i kłokolowi—rość razem aż do czasu żniwa“. Namiętna częstokroć gorliwość ludzka o tryumf sprawy Bożej zapomina o tem zaleceniu Chrystusowem. Zbyt często miesza się do niej interes osobisty, który ją zanieczyszcza. Lecz myśli Boże nie są jako myśli ludzkie, ani twierdzi Boże, jako drogi ludzkie (Izajasz). Bóg istotnie, jak twierdziła Elżbieta, zdmuchnął—pyszniącą się swoją potęgą—armadę. Medalem swoim caryca angielska wypowiedziała prawdę chrześcijańską, że Bóg rozporządza żywiołami, i również chrześcijańskie wyraziła przekonanie, że w danym wypadku zaszła czynna, pozytywna interwencja Opatrzności. Lecz, oczywiście, nie była to myśl katolicka, gdy ukoronowana antypapistka wyobraziła sobie, jakoby Bóg trzymał jej stronę przeciw papie-

stwu. Chciał On raczej, by Anglja weszła z powrotem na drogę do Rzymu ewolucyjnie, by błąd jej się wyżył i przeżył i uznany za zgubny nigdy już więcej nie mógł odżyć.

Jesteśmy, w rzeczy samej, świadkami, jak Anglja samochcąc dojrzywa ku żniwu katolickiemu. Majowy gość Polski, powieściopisarz Chesterton, mówił w Warszawie, że kiedy dawniej gorszono się tam z konwertytów:

— Jakto, pan został katolikiem?—to dziś jest w modzie pytanie:

— Jakto, pan nie jest jeszcze katolikiem?

A drugi z kolei, jeszcze świetniejszy, majowy gość Polski, prymas Anglji katolickiej, kardynał Bourne, zmuszony był wydać osobliwy zakaz: zakaz udzielania sakramentów Pokuty i Eucharystji anglikanom w kościołach katolickich. Nielegalne, jakże jednak sympatyczne, a znamienne, przemykanie się do Kościoła z powrotem!

Katolicyzm angielski, katolicyzm, przepojony cennymi własnościami rasy anglosaskiej, oddający potęgę mocarstwową i kulturalną Albionu na usługi idei katolickiej, usiłujący gorliwością odrobić wieki buntu: co za nabytek dla świata katolickiego i jak bardzo w porę! Już dziś w tym świecie wskazuje się na katolicyzm angielski i mówi: „Anglia docet“. Tylko patrzeć, jak to samo mówić się pocznie w świecie protestanckim rasy germańskiej, a także i w krajach schizmatycznych, z Rosją na czele. Z tą Rosją, której marzeniem było zjednoczenie ze schyzmą anglikańską, a której schyzmę Bóg zamazuje kwaczem bolszewickim! Gdy bowiem Kościół pod prześladowaniem bolszewickim niszczy tylko fizycznie, gotowy zawsze się odrodzić, to Cerkiew upada i moralnie.

Sam Autor mówi: „choć niejedno (pokolenie) zdaje się spełniać tylko dzieło zniszczenia, to przecież pokazuje się później, że Opatrzność umie i ze złego dobre wyprowadzić następstwa“.

Temi słowy Autor pomaga nam własną swoją trudność rozwiązać. Jeżeli bowiem, jak on przyznaje, Bóg umie na dobre obracać zło moralne, które czynią ludzie, to tembardziej potrafi na dobre obracać zło materialne, jak katastrofy, będące wynikiem Jego woli, a nie dopustem Jego tylko.

Niestety, autor jest konsekwentny, więc i na tej również, słusznej w zasadzie, myśli jego odbił się jego relatywizm.

Niejedno pokolenie spełnia dzieło zniszczenia rzeczywiście. Weźmy choćby tę rewolucję religijną, o której mowa. Sam Luter dziwował się i zlorzeczył dziełu własnemu, iż jego „czysta“ Ewangelja przyniosła owoce bardzo nieczyste, wręcz przeciwne oczekiwanym. „Jeśli się nam uda — biada! — wypędzić jednego diabła, natychmiast na jego miejsce przychodzi siedmiu gorszych. Możemy być pewni, że gdy wype-

dzimy mnichów, powstanie plemię siedemkroć gorsze od dawnego" („Erlangen"). Nie dziwiłby się temu Saturn z Eisleben, pożerający własne potomstwo doktrynerskie, gdyby był zdolny zrozumieć słowa Augustyna, że „heretycy potrafią wywracać, lecz nie potrafią nawracać". Musiałby być bowiem wprzódzy uznać własną swoją naukę za heretycką i nie uważać tego, co Boże, jak życie zakonne, za djabelskie. Według Ewangelji, djabeł prawdziwy, jeśli, wypędzony, znajdzie miejsce, skąd go wypędzono, gościnnie dlań z powrotem otwarte, umiecione i ochędożone, sam do niego powraca, przyczem wprowadza za sobą siedmiu innych, gorszych od siebie samego. Gdyby więc mnisi byli „djabłami", to, wypędzeni, znalazłszy w świecie protestanckim Ewangelję „oczyszczoną", powróciliby doń w siedemkroć liczniejszym towarzystwie...

Zło moralne zawsze także zło tylko wydaje i sam Bóg „wyprowadzić" zeń dobra nie może, gdyż to się naturze rzeczy sprzeciwia. Jeśli Bóg zło moralne obraca na dobre, to przez zwycięstwo nad złem, ku czemu posługuje się ludźmi dobrymi. Dzieje się to zazwyczaj drogą dopuszczenia do tego, by zło wydało swoje zgubne owoce i spowodowało reakcję dobra. W razie przeciwnym, trzebaby było tylko zła Bogu dostarczać, by zeń „wyprowadzał" dobro.

W przypadku z armadą hiszpańską — zniszczenia dokonał Bóg, i to zniszczenia nie tylko materialnego. Zniszczone zostały także pewne wartości moralne, oczywiście, nie przedmiotowe, lecz podmiotowe: katolickie zamiary Filipa, ze względu na które możnaby ową armadę nazwać katolicką. Było to prawo Boga, wynikające z Jego dominium altissimum. Armada, kierowana zamiarami ludzkiemi, stała na przeszkodzie lepszym zamiarom Bożym, przeto została usunięta i, jak się pokazuje, wychodzi to na dobre, bo na gruntowne i z głębi przekonania nawrócenie się Anglii. Widowisko, zaprawde, wspaniałe, radosne i pouczające!

Filip II nie mógł zrozumieć tego tak, jak my możemy dzisiaj. Przecież, jak po katolicku przyjął wieść hijobową! Rzekł spokojnie: „Posłałem ją (armadę) dla walki z Anglikami, a nie z burzą. Niech się dzieje wola Boża!" A do papieża pisał: „Ojcie święty, dopóki będę panem źródła, za małą rzecz uważam utratę strumienia. Dziękuję Najwyższemu Panu, że dał mi możliwość naprawienia klęski, którą nieprzyjaciele moi muszą przypisać żywiołom, za nimi walczącym".

Mimo wszelkich zrozumień, trzeba jednak w końcu zawołać z Pawłem z Tarsu: „Jako są nieogarnione (rozumem ludzkim) sądy Jego i niedościgłe drogi Jego!" Trzeba jednak same te słowa dobrze zrozumieć.

Wielu pojmują je w sensie zupełnej niemożności zrozumienia roków Bożych i, wskutek tego, w obliczu katastrof po-

grają się w graniczącej z ciemnościami ateizmu po:roce beznadziei i tracą wypływające z wiary w Opatrzność wskazania moralne. Tak je pojmować jestto obrażać wierzącego gorąco Apostoła. Słowa jego wyrażają podziw dla przewyższającej rozum ludzki mądrości sądów Bożych. Ale to podziw rozumny, wynikający z częściowego przynajmniej zrozumienia swego przedmiotu: takiego, które wystarcza do zapłodnienia umysłu i rozplomienia uczucia. Słowa Pawłowe są uskrzydłone i płoną płomieniem wiary w Opatrzność. Na ich skrzydłach wznosi się on pod niebiosa poznania tajemnic rządów Bożych i, zgodnie z hymnami biblijnymi na ich cześć, opiewa ich mądrość, zatem wszystkie te przymioty, na które się mądrość w przymacie analizy rozszczepia, jak: prawdziwość, sprawiedliwość, moc i wdzięczność. Ale bo też co za materiał do takiego podziwu posiadają dzieje biblijne! Jest to materiał pod tym względem klasyczny.

Wszakże i fakt częściowej niepojętości wypadków dziejowych, osobliwie katastrof, pod kątem Opatrzności, da się również pojąć. Sprawa z Poznawalnym, lecz Niepojętym. Ileż jest rzeczy niepojętych w samej przyrodzie! Elektryczność, radio, sama nawet, wogóle, materja... Niepojętość ich wszakże nie przeszkadza nam wcale znać ich właściwości i posługiwać się niemi po pańsku.

Prawda. Są w przyrodzie i rzeczy całkiem dotąd niezrozumiałe, jakby bezcelowe. Taki np. wyrostek robaczkowy, stworzony, zda się, jakby tylko na utrapienie ludzkości. I dzieje również mają wyrostki robaczkowe. Lecz co to znaczy wobec szeregow faktów, wskazujących wyraźnie na transcendentalną celowość dziejów? Jakkolwiek wypadki niezrozumiałe, z pozoru bezcelowe, mogą trapić badaczy, podobnie jak astronomów intryguje odwrotna, nigdy dla Ziemi niewidzialna, strona księżyca — niemniej owe fakty wystarczają aż nadto do niewątpliwego wniosku o istnieniu Opatrzności, zatem, że i „wyrostki robaczkowe" dziejów cel jakiś, choćby bardzo podrzędny, mieć muszą. Albo, bowiem, Opatrzność jest, albo Jej niema. Skoro, jak wielkie fakty historyczne wołają, jest, tedy „od krańca do krańca dosięga mocnie i rozrządza wszystko wdzięcznie".

Mądry rozumowcy podchwytyją: katastrofy na odludziu są napewno pozbawione wszelkiej celowości etycznej!

Pocisk, rzucony w próżnię. Któż to im nawet przypisuje celowość etyczną? Spełniają one wyłącznie swoje przyrodzone cele fizyczne, jakkolwiek można wskazać na ich związek z etycznością pośredni. Nauka wykryła w naturze prawo selekcji. Na jego mocy, natura, mając w jakimś celu do rozporządzenia środki, mało do tego celu uzdolnione, albo też narażone na zboczenia, nieudolność ich zastępuje mnogością, jest rozrzutna, jak np. w mnożności królików i kwiecica. Prawo to

daje się zastosować także i do katastrof. Żeby jakiś kataklizm mógł osiągnąć miejsca przeznaczenia, gdzie ma spełnić cel etyczny jako katastrofa, przebiega długą drogę, albo się rozgalezia.

Tak, — przyznajemy z Autorem — „są w dziejach świata zagadki, niemożliwe do rozwiązania“; lecz najmniej bodaj ich jest w dziedzinie katastrof, które jednak Autor wysuwa, jakoby najbardziej zagadkowe z pośród historycznych zagadek świata i jakoby one usprawiedliwiały w umysłach niewierzących wątplenie o Opatrzności. Bo jeśli one są poza działaniem Opatrzności, jeśli Ona do nich nie dosięga, to próżno mówić o Niej wogóle. Wątplenie, uczepiwszy się tendencyjnie „zagadek“, konsekwentnie już rozszerza się, jak zaraza, na całość dziejów i, zamiast Opatrzności, karzącej czy doświadczonej, bezmyślnie widzi w katastrofach „ślepe okrucieństwo losu“. Z tego jednak, iż w dziejach są zagadki nierozwiązalne, wolno wnioskować tylko tyle, że wyroki Boskie są niezbadane, a nie, żeby działanie Opatrzności było niedowiedzione. Niezrozumiałość pewnych zdarzeń nie daje prawa do wątplenia o Opatrzności, gdy istnieją szeregi faktów, układających się w wyraźny „Fingerzeig Gottes“.

Katastrofy odgrywają w dziejach rolę, podobną w zasadzie do roli cudów, dlatego celowość ich, naogół, jest szczególnie wyraźna. Gdy ludzie przestają rozumieć, czy też tracą wrażliwość na zwykłą mowę Bożą przez naturę i łaskę, Bóg grzmi katastrofami. Biada im tem większe, gdy i na ten krzyk Boży zatykają uszy, a na Palec Boży, piszący głoskami zjawisk rozpętanych żywiołów, zamykają oczy.

Gdy Doktor z „Dziadów“ padł rażony piorunem, Pelikan, wtórując pochlebnie Senatorowi w drwiącym odrzucaniu myśli, że to była kara Boża, — mimo że X. Piotr Doktorowi śmierć nagłą tegoż dnia przepowiedział, — argumentował, że gdyby to była istotnie kara Boża „za śledztwo“ (!) przeciw młodzieży polskiej, w takim razie piorun powinien byłby ich, t. j. Pelikana i Senatora, „zaszczycić pierwszeństwem“. Na to X. Piotr odpowiedział dwiema przypowieściami, których sens taki, że gdy mniejsi winowajcy w katastrofie giną, a więksi uchodzą z niej cało, to dlatego tylko, że im została zachowana kara daleko sroższa. Mickiewicz roki Boże rozumiał!

Tłumaczenie to da się zastosować i do owego mesyńskiego „telefonisty“, błazna Lucypera, co to przez „Telefon“ bluźnił Niebu, a z katastrofy, której tak skutecznie wzywał, wyszedł bez szwanku i Prawicy Bożej w katastrofie nie uznał. O ile zresztą Bóg nie przewidział jego pokuty w dalszej przyszłości.

Dziś tej mickiewiczowskiej prostoty i odwagi sądu braknie nawet w obozie katolickim. Przedwojenna „Wiara“ warszawska z powodu katastrofy mesyńskiej pisała: „Czy to (kara) był cel

Jego (Boga) obecny? Któżby śmiało twierdzić, lub przeczytać? Niedowiarstwo śmiało jednak przeczytać, a przytem jeszcze, z właściwą sobie konsekwencją, i bluźnić. „Wiara“ na to się oburzała, nie śmiała jednak twierdzić i w ten jedynie skuteczny sposób zamknąć niedowiarstwu bluźniącej buzi. Nie śmiała, bojąc się zwrócić jej przeciwko sobie. Nie śmiała, mimo krzyczącej wymowy faktów, nie gorszej dowodowo od „krzyku Sodomy i Gomory“, co doszedł był uszu Pańskich, a gdzie wszystko: „od chłopięcia do starca“ — było zszodomszczone.

A nie był to głos w publicystyce katolickiej odosobniony. W ten sposób pomaga ona ludziom do zatykania uszu na gromy gniewu Bożego; ustępuje pola ateistycznemu filantropizmowi z ujmą dla filoteizmu, w którym mieści się filantropizm istotny, jedynie dobze, gdyż po Bożemu, zrozumiany; popelnia grzech opuszczenia przez niesprzeciwianie się absolutne zgubnemu czlekolubstwu bez Boga, które zmierza do supremacji gatunku nietzscheańskiego człowieka-antychrysta nad Chrystusowym gatunkiem człowieka-chrysta; sprzyja traktowaniu katastrof sub specie temporis, zamiast, jak tego wymaga wiara nie warszawska, lecz katolicka, sub specie aeternitatis. A to wszystko ze strachu przed panującą opinią liberalną, a pod pozorem pobożnej obawy, by sądów Bożych „nie wikłać słowy nieroztropnemi“.

Sam atoli ten tekst hijobiczny wskazuje, że sądy ludzkie o sądach Bożych bynajmniej nie są wzbronione. Byle były „roztropne“: nie roztropnością ludzka, zwaną oportunistem, unikającą winkelrydowskiego zgarniania w pierś własną włócznie bezbożnickich, wymierzonych w Boga, i przeto zagrożoną przez Boga zatrąceniem, — lecz tą, którą katechizm kładzie między cztery cnoty główne, a którą cenili i mędrcy starożytni.

Rozumienie sądów Bożych jest koniecznym warunkiem możliwości wyciągania z nich korzyści moralnych. Bóg chce, abyśmy je wedle możliwości i potrzeby naszej rozumieli. Nie skazał nas na agnostyczne „ni be, ni me“, bo przez to udaremniłby własne w sądach swoich zamiary. Toteż ludzie wydają sądy o nich: jedni roztropne, drudzy nieroztropne; przyczem te drugie oscylują pomiędzy dwiema krańcowościami — rygoryzmu z jednej strony, jak sądy „przykrych pocieszycieli“ Hijoba, którzy posądzali go o utajoną bezbożność i w niej upatrywali przyczynę klęsk jego, laksyzmu zaś z drugiej, jak sądy bałwochwalców ludzkości.

Do której kategorii należy zaliczyć tych, którzy sądów wydawać nie śmia, tak dalece, że śmiało wzbraniać śmieć innym w imieniu Boga?

Podobni są oni do ewangelicznego pańszczyźniaka, co ze strachu przed surowością pańską zakopał w ziemi powierzony mu talent. Uczynił właśnie to, co spowodowało nań gniew pański, którego się tak obawiał. Takie bywają zwykle skutki stra-

chu niewolniczego. Strach to był nierozumny, a niewątpliwie jeszcze i podszyty właściwym niewolnikom lenistwem. Ono to w gruncie rzeczy było pobudką do zakopania talentu, a rzekomy strach przed panem był tylko niezręcznym wybiegiem, mającym osłonić lenistwo. Oportunizm, wzgląd ludzki, więc bojaźń przed ludźmi, jest lenistwem ducha, lękającego się walki o prawdę i cierpienia za prawdę, a lasęgo na tanią popularność. On także, oportunizm, maskuje się bojaźnią Bożą. Jestto zapewne roztropność synów tego świata, uosobiona i zobrazowana we włodarzu z przypowieści ewangelicznej, lecz nie ta, której żąda Pan Bóg w sądach ludzkich o sądach Bożych.

Z tego się pokazuje, że nie Bóg, lecz ci, co nie śmia i śmieć innym wzbraniają, skazują ludzi na tępe osłupienie w obliczu katastrof. Jeżeli zaś katastrofom, wyraźnie karnym, podsuwają cel inny, doświadczeniowy, jaki miały katastrofy hijobiczne, to je fałszują i udaremniają cel ich specjalny, utwierdzając winowajców w przekonaniu o swojej niewinności. Jestto masowe fabrykowanie hijobów, którym jednak, niestety, braknie cnoty Hijoba i wynagradzającego restytuowania go do poprzedniego kwitnącego stanu zdrowia, szczęścia rodzinnego i majątku.

Ale i bez tych dodatków, ludziom na to, jak na lato. Mogą pozostać przy ukochanych błędach i występkach, a wzajemian za doznaną klęskę, opromienić się hijobicznym nimbem cierpienia „za niewinność”.

Dotknęliśmy tu istotnej sprężyny przeczenia celowości etycznej katastrof i upatrywania w nich szczególnej trudności przeciw uznaniu rządów Bożych na świecie. Jak prawdziwość cudów, podobnie i celowość katastrof, może być również zaprzeczana, wszakże nie z przyczyn rozumowych, choć racjami rozumowymi koloryzowanych. Wchodzi tu znowu w grę wolna wola, zainteresowana w tem, by w katastrofach nie uznawać kary, albowiem uznanie kary równa się uznaniu winy, co pociąga za sobą obowiązek pokuty i poprawy.

„Palec Boży tu jest!” — zakrzyknęli czarownicy egipscy, zwyciężeni przez Mojżesza w pojedynku na cuda-katastrofy. Mimo tego: „zatwardziało serce faraonowe” — „induratumque est cor pharaonis”. Faraon Palca Bożego w plagach nie ujrzał, bo ujrzeć nie chciał. Toteż spotkała go katastrofa ostateczna w Morzu Czerwonym.

Jeżeli cuda, według prof. Alberta v. Rouville'a, są „złotem tłem dziejów powszechnych” — „Goldgrund der Weltgeschichte”, — to katastrofy są ich piorunowemi błyskawicami, w których olśniewającym światłem ukazują się zagniewane Oblicze Boże. Próżno niedowiarstwo zaprzecza ich celowości etycznej, przedewszystkiem karnej, i w postępie nauki i kultury pokłada nadzieje babelskie.

Nie mówiąc już o tem, że w arsenale przyrody Bóg roz-

porządza bronią, której potęga przewyższa bezwzględnie siły ludzkie, to postęp w ujarzmianiu przyrody, zabezpieczając człowieka w pewnym stopniu od niszczącego działania rozpetanych jej potęg, jednocześnie otwiera nowe źródła katastrof, któreimi Bóg posługiwać się może, jako środkami karnymi.

„Stanęli wspólnie królowie ziemscy, a księżęta zesłali się w gromadę przeciw Panu i przeciw Chrystusowi Jego.

„Potargajmy więzy Ich i zrzućmy z siebie jarzmo Ich.

„Który mieszka w niebiesiech, naśmiej się z nich, a Pan szydzić z nich będzie” — prorokuje Psalmista. A dzieje ery naszej opowiadają nam, jak to proroctwo mesjańskie się spełnia. Najwymowniej w katastrofach żywiołowych, któreimi, jak w mesyjskiej, bezbożnym dążnościom i zamiarom ludzkim Bóg daje olśniewającego szach-mata. Choć nienajstraszniejszej. Stokroć straszniejsze od żywiołowych są katastrofy z wolnej woli ludzkiej, jak wojny i rewolucję. Że to są jednak własne dzieła ludzkie, przeto ludzie, ich sprawcy, są na nie łaskawi i nawet je apoteozują. Niemcy rozpetali wojnę światową w imię teorii herrenfolkizmu. Antychrystyczna rewolucja składa straszliwe hekatomby, by wywalić zaparte rzekomo przez klerykalizm wrota do raju. Niemców jednak spotyka katastrofa, a rewolucja, wywaliwszy wrota do raju, znajduje piekło. Wyniki, godne boskiej ironji.

Dostatecznie chyba okazaliśmy, że nie potrzeba wszystkiego w dziejach rozumieć, by z nich z całą pewnością wyczytać Kierownictwo Najwyższe, podobnie, jak nie potrzeba znać wszystkich sił natury dla absolutnego uznania cudów. W księdze dziejów jest mnóstwo kart, wołających, że Bóg rządzi światem, tak głośno i dobitnie, że każda z nich mogłaby starczyć do uznania tej prawdy. „Ex uno disce omnes”.

Czy jednak nie to samo utrzymuje Autor? Wszak powiedział: „ale są też szeregi wydarzeń, które przekonywają ludzi wierzących, że nim (światem) rządzi Bóg”.

Pozornie to samo, w gruncie co innego. Według Autora, historia szeregiem wydarzeń przekonywa o rządach Bożych światem — tylko ludzi wierzących. Stwierdzamy tu znowu błąd ten sam, który tu zwalczamy, co nas utwierdza w przekonaniu, że walczymy z błędem istotnym, a nie z wiatrakami przywidzenia, czepiającego się nieostrożnych, czy nieścisłych wyrażań. Autor jest w przeprowadzaniu swego poglądu konsekwentny i myśl swą wyraża dość ściśle.

Jeżeli „szeregi wydarzeń” przekonywają o rządach Opatrzności tylko ludzi wierzących, to znaczy, że historia nie ma sama z siebie wcale tej mocy przekonywawczej, nie ma wartości dowodowej obiektywnej, zdolnej przekonać wszystkich bez różnicy filozoficznego „credo”, nie jest sama przez się magistra

vitae religiosae, magistra Dei. Może przekonywać tylko wierzących, więc przekonanych, czyli, ma siłę dowodową tylko subiektywną; nie absolutną, lecz względną, nieobowiązującą.

Tak się mści nieuzasadnione uprawnienie trudności, „zdających się przemawiać za tezą niedowiarstwa“, uprawnienie, które jest, logicznie, następstwem częściowego agnostycyzmu, a psychologicznie — skutkiem wtargnięcia nastrojów demokratycznych w dziedzinę filozoficzną. Wprawdzie, według Autora, one za przeciwopatrznościową tezą niedowiarstwa nie przemawiają, jednak budzą wątpliwości, tak, że już owe szeregi faktów, przemawiających za tezą wiary, nie mają siły dowodowej w stosunku do niewierzących.

Tymczasem, bynajmniej nie a priori tylko, lecz także i faktami dowieść można, że one tę siłę posiadają. Zpóźród niezliczonych tego rodzaju wskażemy na jeden taki fakt nowoczesny, a nader wymowny.

Wspomnianego tu już prof. Alberta v. Rouville, protestanta z metryki, nawróciła historia. Dowód historyczny, który go przekonał, że prawda jest w Kościele katolickim, przedstawił on i rozwinął w głośnym przed wojną dziele: „Zeichnis des echten Ringes“. Osnuł go na tle przypowieści o trzech pierścieniach: tej samej, której Lessing użył za węzeł dramatyczny filosemickiej tragedji: „Natan Mędrzec“.

Pewien człowiek posiadał pierścień cudowny, który miał własność czynienia swego posiadacza miłym Bogu i ludziom. Pierścień ten przechodził z ojca na syna, przypadając zawsze w udziale najlepszemu. Zdarzyło się, że jeden ze spadkobierców pierścienia miał trzech synów, godnych go zarówno. Któremu z nich miał go przekazać? To gruntownym namyśle, sporządził dwa inne, zupełnie podobne do cudownego, i dał każdemu z trzech synów po jednym. Po śmierci ojca, między braćmi powstał spór o to, kto z nich był w posiadaniu autentycznego, a, wślad za tem, praw głowy domu. Wkońcu rozstrzygnięcie sprawy powierzyli sędziemu. Ten zawyrokował: ponieważ pierścienia prawdziwego jest czynić swego posiadacza miłym Bogu i ludziom, niech więc każdy z braci stara się o to, a tym sposobem prawda się okaże.

Lessing, jak przystało na liberała, zastosował tę przypowieść do trzech religij monoteistycznych: antychryścyanego judaizmu, w którym pod firmą Boga kryje się szatan, islamu, który Mahometa impostora wyniósł ponad Chrystusa, o Bogu zaś ma wyobrażenie bardzo materialistyczne, i chrystjanizmu. Uznawszy te trzy religje za podobne do siebie, jak owe trzy pierścienie z bajki, wyciągnął stąd wniosek jeszcze mądrzejszy, że żadna z tych religij nie może dowieść boskości swego pochodzenia i że zatem należy skwitować z wszelkich dochodzeń

w tej sprawie i grać Panu Bogu dogmatyczne kulturalne charivari, a troszczyć się jedynie o cnoty liberalne, jak tolerancja dogmatyczna i ludzkość bez dogmatu: cnoty, na których akurat najlepiej wychodzi judaizm, głosząc je na eksport dla gojów, a sam dla siebie uprawiając najbardziej pod słońcem obmierzły fanatyzm. W tej myśli, maurytańska stylowo bóżnica w Pradze Czeskiej głosi kokieteryjnie wszem wobec: „Haben wir nicht alle einen Fater? Hat uns nicht ein Gott erschaffen?“ Aj, ten lessingowski Natan to był prawdziwy mędrzec Syonu, a jego twórca musiał być w jego mądrość wtajemniczony! (Lessing istotnie był wolnomularzem).

Prof. Rouville nie sfalszował sensu bajki. Posługując się nią uczciwie, przekonał się sam i, następnie, to przekonanie swoje rozapostołował, że cudownym pierścieniem religijnym jest katolicyzm. Rozpoznał go po szczególnem, zaiste, znamieniu, które czyni go miłym Bogu i ludziom dobrej woli. Nie po cudach w naturze niższej, lecz po stałym, przejawiającym się historycznie, cudzie w naturze ludzkiej: po świętości. I nie wogóle po świętości, lecz po tem, co stanowi podstawę jej i nieodzowny warunek: po pokorze.

I, znowu rzecz szczególna, widzi w Kościele pokorę, m. in., jaśniejącą w tem, w czem inny, nie literacki, lecz realny Natan „Mędrzec“, wielki mistrz masonerji oraz mer Rzymu, który odgrywał w tym charakterze podwójnym rolę antypapieża, widział „zniewagę Boga i ludzkości“. Widzi ją w dogmacie nieomyślności papieskiej!

Chwilka zastanowienia, a ta zdumiewająca dla wielu rewelacja okaże się prostą i naturalną. Nieomyślność Głowy Kościoła opiera się nie na osobistym każdego z papieży rozumie i autorytecie, lecz na Bogu, na absolutnej wierze w obietnice Chrystusowe: więc nie na pysze, lecz na pokorze. Ogranicza się przytem do spraw wiary i obyczajów oraz do orzeczeń w tych sprawach ex cathedra. Zestawmy to stanowisko ze stanowiskiem wszystkich błędnowierców i niewierców, atakujących obowiązkowo dogmat nieomyślności i oburzających się nań po natanowsku. Na kim to oni się opierają w swych dogmatycznych, bezapelacyjnych przeczeniach i przeczących twierdzeniach, jeśli nie sami na sobie, na swojej pysze? Nawet wówczas, kiedy przysięgają na słowa swoich mistrzów, gdyż dobierają ich sobie „według swoich pożądlivości“ (św. Paweł). Są to nieomylnicy, którzy przeciwstawiają się nieomyślności samego Boga, gdy papież uważa się tylko za jej narzędzie i poddaje się jej najpierwszy.

Szczyt pokory tu, szczyt pychy tam!

Taki subtelny i taki ukryty dowód na prawdę katolicką znalazł prof. Rouville w historii. I on mu wystarczył; a raczej, on go uderzył i przekonał. Cóż dopiero mówić o potędze do-

wodowej popierających katolicyzm cudów i stających w jego obronie katastrofi! Uderzają one wprost nasze zmysły i przez nie przemawiają do rozumu.

Są zaś także i w szeregach wydarzeń politycznych, w których w grę wchodzi czynnik woli i rozumu ludzkiego, cuda Opatrzności, pod których wrażeniem, nawet i z ust niewierzących, wyrywa się mimowoli okrzyk czarowników faraonowych wobec słynnych plag egipskich: „Palec Boży tu jest!“

Bonaparte urąga spodziewanej klątwie papieskiej: „Czy papież myśli, że od jej klątwy broń z rąk moich żołnierzy wypadnie?“ (W liście do księcia Eugenjusza).

W rozpacznej katabasis Napoleona z r. 1812, przedczesne mrozy wytrąciły broń z rąk jego żołnierzy. A kiedy nad Berzyną mróz byłby zbawieniem dla wynędzniałych resztek armji, nagła odwilż dokonała jej klęski.

Przewidywał to Mickiewiczowski Maciek nad Maćkami:

*„Cesarz idzie na Moskwę? Daleka to droga,  
Jeśli cesarz na Moskwę wybrał się bez Bogal“*,

Tu jednak za narzędzie kary Bożej służyły jeszcze żywioły przyrody, jakkolwiek spowodowały one katastrofę polityczną, nie będąc same podniesionemi do potęgi katastroficznej, jak w wypadku z armadą Filipa II.

Lecz oto Opatrzność karząca, bez udziału żywiołów:

Dla potrzeby pruskiej Napoleon III wycofuje z granic zagrożonego rewolucją włoską Państwa Kościelnego 10.000 żołnierzy francuskich. W pierwszej poważnej bitwie, pod Wissenbourgiem, d. 4 sierpnia, traci tyleż, mniej więcej żołnierzy. Dnia 6 sierpnia, pisze Holzwarth, sztandar francuski, osłaniający Stolicę świętą, opuszcza Cyvita-Vecchję z resztą wojsk napoleońskich w liczbie 4 tys. żołnierzy. I oto, ode dnia 6 sierpnia datują się straszliwe już klęski oręża francuskiego; klęski, które się skończyły upadkiem Drugiego cesarstwa.

Spełniło się to, co już ks. Margotti zapowiadał w „Unità Cattolica“, kiedy Napoleon III, spełniając jednostronnie obłudną obustronnie konwencję z Wiktorem Emanuelem, w r. 1866 wycofał wojsko francuskie z terytorjum papieskiego: „Dzienniki paryskie rozwodzą się nad bliskim, według nich, upadkiem Papieża—Króla... My możemy z równą swobodą rozprawić o upadku drugiego cesarstwa napoleońskiego... Napoleon III opuszcza Piusa IX, oddaje Rzym. Tem lepiej: pogrzeb drugiego cesarstwa już niedaleki“.

Sławny ks. Moigno, założyciel i redaktor czasopisma naukowego „Cosmos“, składał wizytę Napoleonowi III w Chislehurst. Ujrzawszy go, excesarz zawołał:

— Wielkie być muszą moje przewinienia, skoro się tu znajduję!

— Najjaśniejszy Panie, zawiniłeś wielce, opuszczając papieża

— Istotnie, istotnie!

Niedarmo istnieje przysłowie francuskie: „Qui mange du pape, en meurt“.

Upadek Napoleona III i, wślad za tem, komunę paryską, przepowiedział genialny Ernest Hello, patrząc na rozpustę dworu cesarskiego. Opowiada o tem Henryk Lasserre w przedmowie do jego „L'Homme“:

„Paryż Napoleona III był u szczytu chwały. Wystawa powszechna paryska w r. 1867 ściągnęła do stolicy Francji półtora miliona cudzoziemców i wszystkich prawie monarchów Europejskich. Jak w 22 lata później wieża Eiffla, tak wówczas na Polu Marsowem królowała pruska armata—potwór, odlana ze stali. Francuzi żartowali z niej sobie. Tam wtedy do Lasserre'a zbliżył się człowiek, w którego oczach gorzał pół-słodki i zarazem straszliwy płomień, zwany przez ludzi genjuszem. Barki jego, zlekka pochylone, jak owe, dźwigające glob ziemski, Atlasa, zdawały się dźwigać ciężar jakiegoś niewidzialnego Wszechświata. Ten człowiek, zbliżywszy się, rzekł:

— Mój przyjacielu, zdumiewam się!

— Spojrzałem nań, mówi Lasserre, pytająco.

— Dopiero coim przeszedł koło Tuilerjów, i one jeszcze nie płoną!

„Zdumiałem z kolei. On spostrzegł to i nie zmieszał się bynajmniej. Podniósł rękę gestem proroków biblijnych i wskazał na potężne miasto. Następnie, jakgdyby widział w głębiach swego ducha, lub też poza widnokretem, zbrojne masy w marszu, dodał zwolna słowa, których dziwny przycisk słyszę jeszcze dotychczas:

— Barbarzyńcy opóźniają się! Cóż tedy porabia Attyla?

„I, powróciwszy do swego milczenia, opuścił mię. Długo jeszcze potem widziałem go przechadzającym się wśród tłumów i pogrążonego w swoim marzeniu.

„Tym człowiekiem był Hello. Rok 1871 ziścił jego ponure widzenie. Barbarzyńcy wkroczyli do Paryża, a potem zażęgnięte barbarzyńską ręką komunardów, spłonęły Tuilerje“.

Tak trafnie wieszczy się na mocy wiary w Opatrzność i znajomości działania Jej w dziejach. Lecz Hellowie nie są czytani za życia; ekshumuje się ich dopiero w wiele lat po ich śmierci, a i to tylko dla wybranych.

Podobne przykłady możnaby przytaczać bez końca.

Poprzestanę na jednym jeszcze, który się mnie, jako Polakowi, narzuca.

Opatrznościowy cud politycznego zmartwychwstania Polski. Gabrijel Hanotaux, historyk Wielkiej wojny (17 tomów),

napiętnowawszy rozbiór Polski, jako największą zbrodnię międzynarodową, pisze z podziwem: „Trzy dynastje rozbiorcze zapadły się jednocześnie. Nie uznać w tej niezwykłej hekatombie oczywistego działania sprawiedliwości dziejowej znaczy tyle, co przeczyć światła dziennego“.

Hanotaux użył tu wyrażenia, maskującego istotę rzeczy. Zamiast powiedzieć szczerze: Sprawiedliwość Boża, lub Opatrzność, powiedział: „sprawiedliwość dziejowa“. Wniknijmy w to wyrażenie. Co to jest sprawiedliwość dziejowa? Czy to świadoma siebie, konkretna sprawiedliwość ludzka?

Gdyby to była ona, tedy nie powinnyby była dopuścić do „największej zbrodni międzynarodowej“, gdyż inaczej nie byłaby sprawiedliwością. A gdyby dopuścić, była zmuszona wskutek własnej niemocy, z powodu niepomyślnych konjunktur politycznych, tedy powinnyby była przynajmniej założyć uroczysty protest. Tymczasem założyła go jedynie bezsilna Stolica Apostolska, najwyższa przedstawicielka Boga na ziemi; no i, z politycznego wyrachowania, tak cenionego przez naszych historyków, zapominających zwykle o proteście papieskim,— także bezsilna Turcja.

A „Gall“, Polsce najprzyjaźniejszy, „ręce umył“. I umywał je stale w ciągu naszych dziejów niewoli, jeśli nie liczyć nie-szczerej, połowicznej, podjętej z pobudek samolubnych, roboty bonapartackiej w Polsce, roboty, tak wciąż jeszcze zachwycającej naszych patriotów.

Ustami Thiersa Gall zawyrokował: „Polska jest przeznaczona na zgubę“ (przez masonerję). ustami Dupina pozostawił ją samej sobie: „Chacun chez soi, chacun pour soi“. Ustami Sebastianiego pogrzebał ją ostatecznie: „L'ordre regne à Varsovie“.

Napoleon III, światowy misjonarz pojętej rewolucyjnie zasadą narodowości, karmił nas wprawdzie obietnicami, które jednak, wskutek naszej łatwowierności, na gorsze nam wyszły.

Nawet, jako owoc wojny światowej, dzieło wskrzeszenia Polski nie było zamierzone serjo przez żadną ze stron wojujących. Zrazu kokietowano ją tylko półwolnością z wyrachowań egoistycznych. Dopiero gdy siła rozwijających się wypadków wojennych postawiła sprawę Polską na porządku dziennym polityki światowej na dobre, zajęto się nią poważnie. Narzuciła się—i, w końcu, niepodobna było jej nie rozwiązać w sensie dodatnim, z korzyścią dla strony zwycięskiej.

Jeśli wystąpił także i sentyment pro polonicus, to jako czynnik drugorzędny, zdobniczy, okrywający nagość egoizmu. Nie przeszkodził on też—uprawnionych historycznie granic Polski okroić, oraz spętać jej suwerenności na rzecz mniejszości narodowych, pod płaszczykiem troski, o które przemycono troskę o miliony przybłędnego żydostwa. Troska aljantów kazała

zapewnić mu rolę spółgospodarza w Polsce, by z tej grzędy kura żydowska mogła skoczyć na grzędę autonomji politycznej, grzędy państwa bezterytorjalnego w państwie terytorjalnem, z prawami do obu; następnie i jeszcze wyżej. Tak spętano suwerenność narodu, znanego z tolerancyjności, posuwając się aż do zaciskania samemu sobie wrażego sznura na szyi, by wroga przejednać.

Oto sprawiedliwość dziejowa ludzka! Widać w niej kierującą losami narodów „opatrność“ masonską. Oparta na fałszywych przesłankach ateistycznych, masonerja okazała się złym prorokiem i nie przewidywała wyzwolenia Polski. Nie było to w jej interesie. Stąd pochodzi spotęgowane dążenie jej obecne do masonizacji Polski katolickiej, nie poto, zapewne, aby ją wzmocnić, jako państwo. Dziś, w okresie pomajowym, masonerja podobno nam sprzyja, sprzyjanie to jednak dziwnie jakoś wychodzi na dobre—przedewszystkiem—ludowi wybranemu.

Sądząc naturalistycznie, niepodobna było przewidzieć, że, w stosunku specjalnie do Polski, przegrają obie strony wojujące. Na tem nieprawdopodobieństwie sam książę Żelazny opierał żelazną, zdawało się, pewność, że Polska zmartwychwstać nie może. Jeżeli zaś Mickiewicz na wojnie powszechnej ludów opierał nadzieje przeciwne, to rachował na cud Opatrzności, to z Pawłem wierzył w nadzieję przeciw nadziei, w nadzieję Boską przeciw nadziei ludzkiej. Dlatego też o jej urzeczywistnienie przez wojnę—Pielgrzymstwu Polskiemu modlić się kazał.

Na tem tle jednak, Mickiewicz i błędził poważnie. W jego wiarę gorącą wdał się bacyl rewolucji, ateistycznej z natury, i podniecił ją do stopnia maligny. Nie rozumiejąc z tego powodu w duchu czystej wiary roków Bożych nad Polską, nie mogąc pojąć, że Bóg wybuchom jej zbrojnym i przelewaniu przez nią krwi „za naszą i waszą wolność“ po całym świecie nie sprzyja, znalazł wytłumaczenie w mesjanizmie Towiańskiego: Polska Chrystusem narodów!

A tymczasem Bóg nie sprzyjał, nie błogosławił, bośmy się sprzymierzali przeciw Niemu z duchem rewolucji. „Z Bogiem, lub choćby mimo Boga!“ Ba, choćby i przeciw Bogu! Karciał za to Polaków ks. Kajsiwicz, kaznodzieja emigracji polskiej, i w odwet za to był ogłaszany przez nich zdrajcą Sprawy narodowej!

Nie sprzyjał Bóg naszym powstaniom zbrojnym i dlatego, że przeznaczony przez Niego czas pokuty narodowej wtedy się jeszcze nie kończył, na co wskazywała samaż owa nasza występna rewolucyjność. Trzeba było, byśmy byli zstąpili na samo dno gehenny niewoli, wychylili do dna czarę jej boleści.

I właśnie dlatego, żeśmy, jako naród, bądź co bądź, katolicki, byli lepsi od zaborców, nie tak zepsuci, jak oni. Cierpienie oczyszcza i uzdalnia do spełnienia posłannictwa Bożego.



Dlatego to również Opatrzność swego czasu nie dopuściła do podboju Rosji przez Polskę. Batory umiera nagle w chwili, kiedy gotował się do wielkiej wyprawy na Moskwę. Bo znowu, trzeba było, żeby schyzma rosyjska wydała w pełni swoje owoce i padła wraz z nienawróconą Rosją i jej caratem. Analogja z armadą Filipa II...

Mimo mickiewiczowskiej wiary w odrodzenie Polski przez wojnę narodów, mimo że ona nas ożywiła i pobudziła do działania z chwilą wybuchu tej oczekiwanej wojny, tak nieprawdopodobnego jej wyniku, mianowicie sposobu, w jaki Bóg doprowadził do wskrzeszenia Państwa Polskiego, — nie przewidywała nawet spółczesna Polska polityczna. Wskutek tego podzieliła się na obozy pasywistów i aktywistów, które się tak samookreśliły w stosunku do triumfujących czasowo Niemców. Tamci rachowali na pełną Polskę autonomiczną pod berłem caratu, ci — na Polskę niepodległą bez najcenniejszego zaboru pruskiego. Nadzieje te kurczyły się w miarę coraz większych, niesłychanych powodzeń niemieckich. Były chwile zwątpienia, zwłaszcza po stronie aktywistów. Prawie do końca wojny żadna ze stron nie śmiała spodziewać się tego, co dała w końcu wojna, bo nie przewidywano cudu Opatrzności.

Pasywiści orjentowali się trafniej. Wszakże nie przewidywali upadku Rosji, wskutek czego z nią do ostatka losy Polski wiązali. Ignorowana i przez nich także Opatrzność czyniła dla Polski więcej, niż oni, patentowani patryjoci, śmieli marzyć. Uczyniła Rzecz, nieprzewidywaną przez najbystrzejszych polityków, nie tylko polskich, ale i światowych. Sprawiała, że zaborcy poniewoli przelewali krew za sprawę swojej polskiej Ofiary; że Niemcy, ratując sami siebie, zbrodniczo struli Rosję, dawną swą aljantkę, bakcylem bolszewickim; że struli ją ci, którzy byli zainteresowani w solidarności z nią dla utrzymania łupu polskiego w swych szponach, w solidarności zbrodniczej wobec wspólnej ofiary.

Rezultat: upadek Rosji i wypuszczenie przez nią jej części łupu polskiego.

Potem przyszła kolej i na chwilowych triumfatorów. Triumfowali dopóty, dopóki nie spełnili posłannictwa ukarania Rosji i wyzwolenia Polski rosyjskiej. Poczem runęli i oni i wypuścili swoje własne zdobycze wojenne i przedwojenne.

Kiedy dzieje oglądały równie ironiczne, a zasłużone stokrotnie, wirgiljuszowe: „*Sic vos, non vobis*“?

Hanotaux ma słuszną: „Nie uznać w tej hekatombie oczywistego działania sprawiedliwości dziejowej znaczy tyle, co przeczyć światła dziennego“. Wszakże niemniej jest oczywistym, że ta sprawiedliwość nie jest gołą i jałową abstrakcją,

konkretyzuje się zaś bynajmniej nie w akcji ludzkiej, lecz w interwencji Opatrzności.

Powie kto, że to jest pro prostu działanie prawa moralnego, którego mocą zbrodnia sprowadza karę, tak jak przyczyna wydaje swój skutek? Zgoda! Lecz, gdzie jest prawo, tam jest prawodawca. Ponieważ nie jest nim, jak okazaliśmy, niesprawiedliwy człowiek, przeto jest nim Bóg. Starożytni Grecy uosobili działanie tego prawa w postaci Ananke; my zowiemy je Opatrznością, poszczególne zaś, uderzające wypadki działania tego prawa — interwencją Opatrzności, która, oczywiście, nie ma potrzeby interwenjować na sposób ludzki. Bóg od początku rozrządził wszystko wdzięcznie.

Niewątpliwie, historia, mimo całej oczywistości swych dowodów na działanie Opatrzności w dziejach ludzkich, nie daje umysłowi naszemu tej pełnej satysfakcji, jaką mu daje metafizyka. Zrówna się z nią ona w sile oczywistości dopiero wówczas, gdy wypowie swoje słowo ostatnie. Lecz to, co powiedziała już dotąd, wystarcza do indukcyjnego potwierdzenia dedukcji metafizycznej, do zlania się rezultatów — obu, idących ku sobie na spotkanie, postępowań metodycznych w harmonijną całość historjozoficzną. Historia ilustruje metafizykę. Wogóle wystarczała ona w każdej chwili rozwoju ludzkości, od jej kolebki. Od początku bowiem towarzyszą jej dowody działania Opatrzności, gesta Dei, stale zaspakajając odnawiający się stale umysłowy głód dowodów na wiarę w Opatrzność. Drogowskaży faktów historycznych po wszystkie czasy wskazywały na Opatrzność, bez żadnej wątpliwości rozumnej, nietendencyjnej, rzeczowej. Daje to rękojmię, że i do końca świata wskazywać na Nią będą.

Jest to odwieczna i powszechna wiara ludów bez różnicy stopnia kultury, a jedynie z różnicą w pojmowaniu samej tej wiary. U ludów politeistycznych jest ona spoliteizowana, u fetyszystowskich — sfetyszyzowana itd. Poza Chrześcijaństwem jest ona też wogóle zdemonizowana, lubo w masach ludzkich bezwiednie, naiwnie. „Albowiem wszyscy bogowie pogańscy — czarci“ — „*Quoniam omnes dii gentium — daemonia*“ — wyznawał Panu Psalmista, co rozwiązyły i okrutny charakter kultu bogów potwierdza. Tendencja demonizacyjna przejawia się już w sekciarstwie, inkubowanym przez ducha buntu w łonie Chrześcijaństwa. Dajmonizowali np. manichejczycy, bluźniąc, że Bóg rządzi tylko na niebiosach, królowie na ziemi, a szatan w piekle. Wiedział o tem Iwan Groźny i wiadomość tę spożytkował podchwytliwie w korespondencji z kniazem Kurbskim, zbiegłym przed jego zemstą do Polski: „Straszysz mię sądem Chrystu-

sa na tamtym świecie. Mniemasz więc, że moc Jego nie rządzi i tym światem? Muszę cię ostrzec, że wpadasz w herezję manichejską" (Mickiewicz w „Lekcjach“).

Istota rzeczy jednak pozostaje wszędzie ta sama: światem rządzi Potęga Wyższa. Co jest przeciw tej wierze, stanowi opozycję, która jest jak cień, podkreślający światło. Poprzez pozornie neutralny wyznaniowo, w istocie zaś wrogi chrystjanizmowi, liberalizm, opozycja od początku Chrześcijaństwa zmierza do nawrotu ku pogaństwu, u którego kresu fosforuje ponuro w ciemnościach widmo szatana. Mamy tu więc również, tajone tylko do czasu, lub nieświadome, uznanie Potęgi Wyższej, ale już przeczające się na przeciwnym Bogu biegun uświadomionego supernaturalizmu. Słowem, Piekło toczy walkę z Niebem o Ziemię.

Faktu tej walki, stanowiącej mistyczną istotę dziejów, ich węzeł dramatyczny, zaprzecza zoologiczny materializm, przerzucając się za sprawą Marxa na pole historii. W naszych wszakże oczach, za sprawą bolszewizmu, wysuwa się on na front polityczny. Jako ewolucja panujących dotychczas dążeń do dechrystjanizacji i ateizacji świata, wystąpiło bolszewictwo z programem pozytywnej antychrystyzacji i antyateizacji. Innymi słowy, postęp od naturalizmu do supernaturalizmu demonicznego.

Biorąc logicznie, jestto niekonsekwencja, psychologicznie jednak jestto rzecz zrozumiała, że ta ewolucja ma charakter walki między terminem a quo, a terminem ad quod, t. j. między programem dechrystjanizacji, a programem antychrystyzacji. Demokracja mieńszewicka wszelkich odcieni radabv używać rozkoszy bolszewickich, lecz boi się owoców romansu z bolszewją, więc uprawia polityczny onanizm. To się, oczywiście, kochance nie podoba i stąd zatargi. Chce ona bowiem koniecznie mieć potomstwo—i to jaknajliczniejsze. Chce stać się nową Ewą nowego rodzaju ludzkiego.

Niestety, wypadki chodzą po ludziach. Namiętność ponosi i owoce niechcący się zjawiają. Bolszewją rośnie więc w siły, a demokracja „umiarkowana“ słabnie i coraz bardziej miarkuje swoje zapalały... wojownicze. Boi się otwartej z nią walki, by do zerwania stosunków miłosnych nie doprowadzić, a w ten sposób gotuje sobie ostatecznie sromotną kapitulację bez walki. Jak Napoleon III, popierający rewolucję dla ocalenia tronu.

Nie od demokracji przeto, szczytającej się zachodniością czy europejskością, oczekiwać należy ratunku przed niebezpieczeństwem podszytej imperjalizmem czerwonym demokracji nibyto wschodniej czy azjatyckiej, będącej w istocie pomiotem tamtej, który czyni teraz podboje i na zachodzie. Ani od socjalno-proletariackiej, ani od liberalno-burżuazyjnej, ustatkowanej,

bo chcącej spoczywać na zdobyczach rewolucji francuskiej. Bo ani tu, ani tam, niema Boga, niema Chrystusa. Jedna i druga przyłożyły się do znaturalizowania świata chrześcijańskiego, do stabularazowania go (tabula rasa) pod budowę ustroju, nacechowanego sakralną pieczęcią Antychrysta.

Antychryst jest istotą międzynarodową, jak międzynarodowy jest jego naród, jego narzędzie. Próbował on już występów na romańskim Zachodzie, w Paryżu, w latach 48 i 71, zanim podbił Rosję. Stamtąd obecnie rozpościera zagony z powrotem na Zachód.

Przeciw Antychrystowi ratunek ludów — tylko w Chrystusie. W Chrystusie absolutnym, katolickim, a nie sprostestantyzowanym, ani zrjonalizowanym, który znalazł się już w początkowych stadiach dewolucji w kierunku antychrystycznym i, wskutek tego, przeciwstawia się katolickiemu. Chrystus zrewolucjonizowany i zbolszewizowany, jak w głośnym filmie bolszewickim, to już pełny Antychryst. Węzły tajemnej sympatii łączą tych wszystkich fałszywych chrystusów.

Ratunek w Chrystusie absolutnym, który obiecał swoją szczególną opiekę Kościołowi, — który, jak wykazują dzieje Kościoła, tę swą obietnicę wypełnia, podnosząc działanie Opatrzności ze stopnia przyrodzonego na stopień nadprzyrodzony i rozszerzając je na świat cały w miarę terytorjalnego rozwoju Kościoła.

Powszechnie się dziś stwierdza, jako następstwo Wielkiej Wojny, wzmocnienie się uczuć religijnych z jednej strony, a nienawiści antyreligijnej — z drugiej. Należałoby jednak ująć to spostrzeżenie w formę taką, że nastąpiło wzmocnienie się uczuć religijnych wogóle: z jednej strony dodatnich, zorientowanych ku katolicyzmowi, z drugiej ujemnych, przeciwkatolickich. Albowiem i te drugie przybierają coraz wyraźniej charakter religijny, mianowicie demoniczny. Kończy się straszny letarg religijnego obojętniactwa, w którym społeczeństwo chrześcijańskie pogrążył narkotyk liberalizmu. Budzi je zeń obuch bolszewicki, którego puszczenie w ruch przyśpieszyło wojna. W chaosie sekt i partyj, na które świat się zróżnicował, przejawia się tendencja do scalkowania ich we dwa wielkie obozy: chrystyczny i antychrystyczny, Kościół i Antykościół. Szerzy się zrozumienie, że jedynie tylko Kościół zdoła ocalić świat, zagrożony w swej wolności i dorobku kulturalnym przez Antykościół, i zabezpieczy mu postęp istotny. Bicz Boży w postaci bolszewizmu, który świat począł kręcić sam na siebie od czasów humanizmu, aż go w końcu ukreślił, napędza go z powrotem do Boga.

Z powrotem do Boga, to znaczy z powrotem do... średniowiecza. Tak, do tego oczernionego przez żydowski z ducha liberalizm, tę truciznę syońską dla gojów, — a dziś rehabilitowanego średniowiecza, które żyło do głębi ideałami religijnymi i za to właśnie zostało oplwane.

Z powrotem do średniowiecza, to znaczy z powrotem także i do Monarchizmu, jako wykładnika politycznego ideałów religijnych w fazie niedojrzałości społeczeństw do wolności demokratycznych. Jeśli bowiem niedojrzałe było dla nich średniowiecze, to nowowiecze zostało przez nie znarowione, zepsute i ogłupione. Demokracja jest jego chorobą, na którą lekarstwem może być tylko Monarchizm. Niesie on z sobą autorytet, przez demokrację obalony, i wytwarza nastroje, sprzyjające autorytetowi religijnemu; gdy, przeciwnie, duch demokracji sprzyja wolnomyślności, t. j. niezależności myśli od Boga, kończącej się zwykle na dogmatyzmie przeciwbożnym,

Oczywiście, nie może być mowy o wskrzeszeniu średniowiecza żywcem. Przyszłe średniowiecze musi być poprawne, postępowe, unowocześnione, które wchłonie w siebie wszystkie wartościowe zdobycze wieków nowożytnych i wyzyska wszystkie ich doświadczenia. Ludzkość nie przeżyła ich darmo.

Na opatrnościową rolę bolszewictwa w tym duchu wskazuje historjograf rosyjski Berdiajew w swym „Nowem Średniowieczu”. Wszystkie walory demokracji bez Boga doprowadziło ono do herkulesowych słupów absurdu. Jej trójmian: „wolność, równość, braterstwo” okazał się wielką Panamą duchową. Obludny humanizm zbankrutował. Bez Boga — powiada Berdiajew — niema człowieka, jest tylko „la bête humaine” Zoli. Zaczęła się wielka reakcja sanacyjna, ale ta z Bogiem. Na wzór średniowiecza starego, świat, zrywając z dotychczasową śmiertelną obojętnością religijną, wchodzi w okres walk religijnych, w okres teologiczny, w znak Krzyża.

Niech sobie „Wiadomości Literackie” persyflażują te reakcyjne horoskopy jako „patologję”. Jeśli to jest reakcja, to na reakcję poganizmu. Więc reakcja przeciw istotnemu wstecnictwu, reakcja zdrowia przeciw śmiertelnej chorobie, myśli chrześcijańskiej przeciw myśli żydowskiej, tej na wywóz, tego trującego produktu chorej duszy narodu odrzuconego, tej żywej trucizny świata.

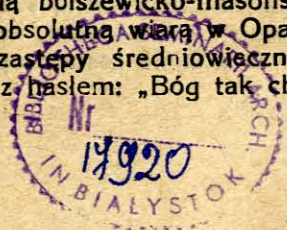
„Mnożność głupstwa — powiedział Krasieński — jest przesileniem się głupstwa”. Głupstwo demokracji przesila się. Najważniejszym zadaniem pokoleń obecnych i najbliższych jest rozprawa z bolszewictwem oraz z tem wszystkim, co do niego prowadzi.

Rozprawa integralna. Wobec ogromu i ważności tego zadania maleją wszystkie inne sprawy, nie wyłączając niemieckich dążeń odwetowych. Te faraonkie tendencje mogą pograżyć Niemcy w Czerwonym Morzu rewolucji bolszewickiej, jako odwet za zbrodnicze pograżenie w niej Rosji.

Ale, jeśli ta krucjata nowoczesna ma być uwieńczona pełnym triumfem Krzyża nad gwiazdą bolszewicko-masońsko-żydowską, to musi być natchniona absolutną wiarą w Opatrzność. Taką, jaką były natchnione zastępy średniowiecznych krzyżowców, idących na bój święty z hasłem: „Bóg tak chce! Bóg tak chce!”

## ERRATA.

- Str. 16, akap. 3, wiersz 4, zamiast grenady—Grenady.  
" 20, " 6, " 1, " Kardea—Kardeck.  
" 24, " 4, " 4, " odchłanie—otchłanie.  
" 29, " 1, " 2, " jak—jakim.  
" 33, wiersz 1 od góry, " mer—per.  
" 35, akap. 2, wiersz 3, " nocy—Nocy.  
" 36, " 4, " 1, }  
" 36, " 5, " 1, } zamiast Tytanica—Tytanika.  
" 36, " 6, " 3, }  
" 36, " 8, " 2, zamiast Zapytujemy—Zapytajmy.  
" 39, na końcu akap. 4 opuszczono: I jeszcze bez  
względu na to, że nadmiar złota staje się dlań klęską Midasową.  
Str. 40, akap. 2, wiersz 1, po słowie: Rozpoczął się.  
myślnik.  
Str. 40, w. w. 2 i 4 od dołu, zamiast ca—ea.  
Str. 40, wiersz 2, zamiast odjęta—odjęte (biada).  
Str. 43, akap. 4, wiersz 1, zamiast Izaela—Izraela.  
" 43, " 4, " 8, " przyczyn—przyczyna.  
" 43, " 4, " 10, " sama—ta sama.  
" 45, " 3 od góry, słowa: uznany za zgubny — ując  
w przecinki.  
Str. 48, akap. 4, zamiast: wyszedł bez szwanku i Prawicy  
Bożej w katastrofie nie uznał — wyszedł wprawdzie żywy, lecz  
pozbawiony fizycznie tego rozumu, którego tak nadużywał  
przeciw Rozumowi Najwyższemu (cfr. str. 33, akap. 5).  
Str. 53, wiersz 1 od góry, zamiast dogmatyczne kulturalne—  
dogmatyczne i kulturalne (od rzeczownika kult).



Str. 54, akap. 2, wiersz 2, zamiast jej—jego.

„ 54, „ 8, „ 6, „ Cyvita—Civita.

„ 55, „ 5, „ 9, „ dźwigające — dźwigającego.

Str. 56, akap. 4, wiersz 2, zamiast ustami—Ustami.

„ 56, „ 7, „ 1, „ pro polonicus — propolonicus.

Str. 56, wiersz 2 od dołu, po wyrazie: troski — wyrzucić przecinek, szczególnie w tym wypadku szkaradny.

Str. 61, akap. 4, wiersz 2, zamiast niej — nie- (z przenośnikiem).

Drobniejsze usterki druku pominięto.

---

## Dopiski.

DO STR. 4, AKAP. 1:

Fakt kapitalny: Mommsen nie napisał 4-go tomu swojej epokowej „Römische Geschichte“ jedynie dlatego, że nie mógł wytłomaczyć w sposób naturalny pochodzenia, istoty i rozszerzenia Chrześcijaństwa; jako zaś historyk, nie mógł uznać czynnika nadnaturalnego.

Jako historyk! Nie byliby więc godnymi miana historyka ci wszyscy dziejopisarze, którzy czynnik nadnaturalny uznają, zmuszeni do tego, właśnie, faktami historycznymi, a więc zachowujący się wobec nich tak, jak to jest obowiązkiem historyków. Z tą wszakże strusią metodą historyczną historjografia ery chrześcijańskiej stałaby się wogóle niemożliwością. W każdym razie, ten nienawistny strach przed Chrześcijaństwem, ta przed niem ucieczka ze strachu, gdy naturalistyczne wytłomaczenie go okazało się niemożliwe, świadczy samochoć za jego nadnaturalnością, jako faktem. Świadczy zresztą i o uczciwości naukowej autora „Dziejów Rzymskich“ o tyle, że wołał zamilczeć o niezrozumiałem dla siebie zjawisku dziejowem, niż pójść przeciw niemu utartym szlakiem jego fałszerzy.

Do STR. 13, AKAP. 5:

W art. „Myśli Narodowej“ p. t. „Naród idiotów“ (1927), dowodząc, przeciw głośnej mowie kaliskiej Marszałka Piłsudskiego, potrzeby pielęgnowania dumy narodowej, Al. Świętochowski napisał: „wzbudzeniem wiary w siłę i zdrowie dokonywano cudów religijnych i lekarskich...“ Jeżeli cuda religijne równają się lekarskim, bo tak samo, jak i one, polegają na sugestji, to niema co wogóle mówić o cudach. Szczęściem, czcig. nestor pisarzy polskich, jak świadczy owo jego zdanie, jest w tych rzeczach zupełnym laikiem.

DO STR. 14, AKAP. 1:

Polski Samson, Piątkowski, powiedział: „Siła jest talentem, jak każdy inny: wyrobić przez ćwiczenia się nie da“.

DO STR. 16, AKAP. 3:

W „Traité de Métapsychique“, Paris, 1923, na str. 819 Karol Richet pisze:

„En resumé, il y a trois hypothèses: 1<sup>o</sup> ce sont les morts, dont les consciences, au lieu de disparaître, ont continué à exister (sans substratum matériel): c'est la théorie spirite, celle qui me paraît la moins vraisemblable; 2<sup>o</sup> il y a des anges, des esprits (dâimones) qui, puissant mécaniquement et psychologiquement, interviennent dans les affaires humaines; 3<sup>o</sup> l'intelligence humaine (âme et corps) est assez puissante pour produire aussi bien les manifestations matérielles (ectoplasmies) que les manifestations subjectives (cryptesthesies), qui nous stupefient.

„Si j'admets, comme manifestement préférable aux deux autres cette troisième hypothèse, ce n'est pas que j'y croie bien fort. Loin de là. Je sens combien elle est fragile et ridicule, et presque aussi ridicule que les deux autres. Mais quoi? Avons nous mieux? Peut être. Et pour ma part, j'adopte sans réserve une quatrième proposition, celle qui a toutes chances d'être la vraie: nous n'avons encore aucune hypothèse sérieuse à présenter.

„En définitive, je crois que je ne puis formuler, car je ne la connais pas“.

DO STR. 32:

Liczbę kwiatuśków mądrości laikalnej w przedmiocie tłumaczenia katastrof żywiołowych, mogę tu pomnożyć okazem, uszczknętym z grządek „Głosu Prawdy“, a mogącym z powodzeniem rywalizować z „Prawdą Leningradzką“, o której na str. 8. Mianowicie, zniszczenie, spowodowane przez wylew Tamizy w styczniu r. 1928, organ p. Stpczyńskiego scharakteryzował, jako „wandalizm Tamizy“.

DO STR. 43, AKAP. 2:

Medal angielskiej Elżbiety wart medala Katarzyny II, wybitego przez nią po trzecim rozbiórce Polski: „Co było utracone, odzyskałam“.



14920

DRUKARNIA  
„REDUTA“  
WARSZAWA  
TRAUGUTTA  
... № 3 ...  
TELEF. 40-39